Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

WARSZAWA - LUTY - NR. 2

miesięcznik społeczno literacki

LEWY TOR



Cena egz. 50 gr.

2

TREŚĆ NUMERU:

Redaktor i Wydawca — KONSTANTY BOBOWSKI.

Redakcja i Administracja—Królewska 16. Tel. 2.18.14. Konto P.K.O. 1266.

Administracja czynna codziennie od godz. 10—4 pp.

Redaktor przyjmuje we czwartki od godz. 5—7 pp.

Prenumerata roczna — 4 zł. Prenumerata półroczna — 2 zł.

Zakł. Graf. „Drukarnia Bankowa", Warszawa, Moniuszki 11.

Dr. A. PRÓCHNIK

ENTUZJAZM

W procesie przekształcania się idei w czyn przypada czynnikom emocjonalnym olbrzymia rola. Możnaby nawet powiedzieć, że cała przestrzeń między ideą, a jej urzeczywistnieniem jest temi czynnikami wypełniona. Nietylko zresztą ta przestrzeń. Momenty uczuciowe są jak powietrze. Podobnie, jak powietrze, jak ciała lotne, rozprężają się na całej przestrzeni między ciałami stałemi i płynnemi, tak uczucie wypełnia całą przestrzeń między aktami naszego rozumu i woli, które są jakby wyspami wśród morza uczuć. Czynniki emocjonalne poprzedzają ideę. Są jakby wrotami do idei. I zjawiają się znów z chwilą, gdy idea przetwarza się w czyn. A więc są również wrotami do czynu. Czyn jest to zgęszczone, zmaterjalizowane uczucie. Twierdzenie: na początku było słowo, a potem stało się ono ciałem, jest niesłuszne. Na początku było uczucie. A potem stało się słowo-idea. A następnie znowu się zjawia uczucie, które przekształca słowo w ciało, które sprawia, że idea zamienia się w czyn i urzeczywistnia się. Zamiast schematu: słowo-ciało, musi przyjść schemat: uczucie-słowo-uczucie-ciało.

Idea rodzi uczucia w rozmaitej mierze. Od napięcia i siły dynamicznej czynników emocjonalnych zależy przebieg walki. Natężenie uczuć do najwyższego stopnia i rozpalenie ich do czerwoności — to entuzjazm. Żaden przełom, żaden przewrót nie może się bez entuzjazmu dokonać. Tylko entuzjazm posiada tę siłę popędową, która jest zdolna zamienić ideę w czynnik świadomie przetwarzający rzeczywistość. Fale entuzjazmu poprzedzają każde wielkie wydarzenie dziejowe, każdą wielką przemianę. Entuzjazm towarzyszy każdemu potężnemu prądowi. Wykrzesać entuzjazm — oto zagadnienie.

Socjalizm od narodzin swych miał zdolność budzenia entuzjazmu. Wkroczył na arenę historji w aureoli entuzjazmu. Entuzjazm znaczył całą jego drogę, wszystkie jego walki i zmagania. Historja socjalizmu — to pochód entuzjazmu. Entuzjazm był wyrazem jego żywotności.

Bezwątpienia. Ale jak to wygląda w obecnej chwili? Trzeba umieć prawdzie spojrzeć w oczy. Stwierdźmy więc z całą otwartością: przeżywamy okres osłabienia owej fali entuzjazmu. Socjalizm wykazuje dużo wytrwałości, dużo zaciętej woli, dużo siły oporu. Ogień entuzjazmu tli się jednak słabo. Socjalizm dzisiejszy, to są mocno ściśnięte, zawzięte usta, to nie usta otwarte do wydania okrzyku bojowego. To dłoń skurczona, a nie wyciągnięta do ataku. To gniew, a nie burza.

Odpływ fali entuzjazmu jest zjawiskiem zaiste godnem zastanowienia. Jakie wnioski wolno nam stąd wyciągnąć? Czy o bankructwie socjalizmu? Czy mamy doszukiwać się źródeł osłabienia entuzjazmu w osłabieniu idei? Jeżeli liść usycha, nie oznacza to jeszcze, że drzewo zamiera, że zanikają jego soki żywotne, że gniją korzenie. Odpływy fali entuzjazmu powtarzały się niejednokrotnie w dziejach socjalizmu. Zwłaszcza w okresach represyj i depresji. A jednak zawsze po odpływach wracały przypływy.

Błędem byłoby również, gdybyśmy chcieli entuzjazm traktować jako zjawisko indywidualne, zależne od wartości osobistych i przeżyć poszczególnych ludzi. Bezwątpienia, są typy t. zw. entuzjastów. Są to ludzie specjalnie zdolni do niecenia ognia zapału, ludzie o wielkiej dynamice wewnętrznej, o wyjątkowej sile woli i charakteru. Nam jednak idzie o entuzjazm jako objaw masowy. Stwierdziliśmy wszak fakt falowego charakteru entuzjazmu. Obok stosunkowo nielicznych jednostek, w których ogień entuzjazmu pali się od wewnątrz, olbrzymia większość czerpie pobudki do entuzjazmu z okoliczności zewnętrznych, z warunków objektywnych. A warunki te oddziaływują w sposób typowy, w sposób podobny na wszystkich. W wyniku tego muszą powstawać objawy masowe. Wszak obserwujemy nieraz, że jeden i ten sam człowiek wprzągnięty w służbę pewnej idei, rozwijającej się w określonych warunkach, zachowuje się biernie, rozwija małą aktywność, jest zwyczajnym pionkiem, przerzucony zaś w nowe warunki wykazuje olbrzymie skarby zapału, ofiarności i energji. Nowe pierwiastki ideowe i nowe warunki rozpaliły tlącą w nim iskrę entuzjazmu i rozbudziły jego żywotność. I bywa wszak odwrotnie, że człowiek odcięty od źródeł entuzjazmu zatraca swą aktywność,

osłabia swą działalność. Otóż niema wątpliwości, że tylko masowe wybuchy entuzjazmu prowadzą do zwycięstw.

Trzeba nam zatem sięgnąć do tych źródeł, z których bije ożywcza siła entuzjazmu, zdolna stać się siłą rozpędową, która masy popchnie do czynu. Tkwią one zarówno w przeszłości, w teraźniejszości i w przyszłości. Należy szukać owych źródeł w bojach minionych, w walkach teraźniejszych i w ideałach przyszłości. W byłem, obecnem i przyszłem życiu. Darmo ich szukać tylko tam, gdzie tego życia niema wcale, gdzie go nigdy nie było.

Nasz stosunek do przeszłości jest uczuciowy. W naszem dążeniu do przekształcenia rzeczywistości, musimy wciąż pokonywać opór, stawiany nam przez minione życie. Wstępujemy w *historję* jako bunt przeciw tradycji. Przykuci łańcuchami do przeszłości, napinamy swe mięśnie i wytężamy swe siły, aby więzy te zerwać i ruszyć naprzód przed siebie. Staramy się więc z tą przeszłością zerwać jak najgruntowniej. Wytwarza się zasadniczy antytradycjonizm. Jesteśmy uczuciowo nastawieni na przeciwstawienie się przeszłości. I słusznie. Bezwątpienia, że metoda taka jest generalizowaniem i jak każde generalizowanie jest przesadą. Można generalizowanie potępić z punktu widzenia ścisłości naukowej, z punktu widzenia walki jest ono jednak niemniej koniecznością. Prawa walki wymagają bowiem, aby nadać jej wyraźny kierunek. Idziemy przeciw przeszłości. Oto hasło. Niema tu miejsca na zastanawianie się nad tem, że w owej przeszłości są również czynniki dodatnie.

Nie znaczy to jednak, aby tych czynników nie poznać i nie wykorzystać. Zachowując zasadniczą linję przeciwstawnego stosunku do tradycji, stwierdzić musimy, że istnieje również obok potężnej tradycji krzywdy społecznej i różnych form niewoli, tradycja walki i buntu, tradycja rewolucyjna. Zajmuje ona niewiele stron historji i to stron rozrzuconych po grubym tomie dziejów. Ale należy je zebrać i przekuć na broń w dzisiejszej walce.

W przeszłości rewolucyjnej tkwią skarby entuzjazmu. Pozornie wydaje się, że entuzjazm, który nie osiągnął swego celu, był zmarnowanym, aczkolwiek pięknym wysiłkiem. Jest to wrażenie złudne. Entuzjazm jest zawsze siłą twórczą, je-

żeli nie bezpośrednio, to w każdym razie pośrednio. Entuzjazm jest to bowiem, jak stwierdzono powyżej, siła motoryczna. Wyniki jego to niekoniecznie natychmiastowe rezultaty, ale ruch. Podobnie jak w maszynie puszczone w ruch koło porusza dalsze koła, i dopiero w rezultacie szeregu współzależnych ruchów powstaje produkt, tak i w walce entuzjazm wywołuje nie oderwane poruszenia, ale cały proces ruchu, szereg kolejnych, związanych z sobą ruchów o pewnym wyniku końcowym. Prawo przyrodnicze, że nic w naturze nie ginie, stosuje się również i do entuzjazmu. Możnaby stwierdzić, że w postaci t. zw. tradycji rewolucyjnej następuje akumulacja entuzjazmu. Entuzjazm, który dali z siebie Waryński czy Kunicki, Okrzeja czy Kasprzak, Mirecki czy Kwiatek, Luśnia czy Perl, nie skończył jeszcze swej roli historycznej.

Tradycja rewolucyjna jest zatem jednem ze źródeł naszego entuzjazmu. Któż z nas nie odczuł tego, jak wzbierała w nim fala entuzjazmu, gdy czerpał z tych źródeł? Nie należy jednak popełniać błędu przeceniania owych czynników tradycyjnych. W rozbudzaniu naszego zapału rewolucyjnego nie odgrywają one bynajmniej roli najważniejszej. Raczej możnaby rzec — drugorzędną. Można doskonale wyobrazić sobie rozkwit entuzjazmu bez żadnej tradycji rewolucyjnej. Nie możemy zaś w żaden sposób przypuścić, aby mógł powstać twórczy entuzjazm wyłącznie na gruncie przeszłości. Roślina może równie dobrze wyrosnąć z dawnych korzeni, jak i z nasienia i dopiero się świeżo zakorzenić. W żadnym razie jednak nie może się rozwinąć bez dopływu świeżych soków żywotnych. Ruchy ideowe związane tylko z przeszłością nie mogą wykazać się dostateczną siłą dynamiczną. Muszą one związać się z współczesnemi potrzebami i tendencjami rozwojowemi ludzkości. Dla socjalizmu wynika stąd wyraźna nauka. Nie może on zanadto żyć swą przeszłością. Tradycję rewolucyjną musi on sprowadzić do odpowiedniej miary. Emocje z niej wypływające mają bowiem działanie bardzo ograniczone. Entuzjazm, który wyrośnie z niej, musiałby szybko uschnąć, gdyby nie wrósł rychło w grunt dzisiejszych walk i nie zespolił się z dążeniami rewolucyjnemi klasy robotniczej.

Walki współczesne — oto podstawa realna, na której

oprzeć się może nasz entuzjazm. Zarówno sama walka, jak i nasze konkretne osiągnięcia, chociażby częściowe, stanowią odpowiedni grunt dla rozwoju czynnego zapału. W walce tkwią bogate czynniki emocjonalne. Rozdmuchują one wielki płomień entuzjazmu. Walka budzi uśpione pierwiastki naszej jaźni. Walcząc — odkrywamy niespodzianki w samych sobie. Do praw walki należy to, że kształtuje ona takich ludzi, jacy są jej potrzebni. Ludzie rewolucji są dziełem samej rewolucji.

Różne są formy walki i różne są jej etapy. Od tego może też zależeć siła entuzjazmu. Są formy walki, które nie porywają. Są etapy walki, które nie zdołają rozpalić naszych uczuć. Walka obronna i walka czynna nie mają jednakowego znaczenia jako źródła entuzjazmu. Inne jest nasze nastawienie uczuciowe, gdy jest napięty łuk cięciwy, inne, gdy zwisa on bezwładnie.

Mówiliśmy dotąd o walce w znaczeniu dosłownem, o walce, jako o pokonywaniu oporu, jako o buncie, jako o czynnej negacji w stosunku do rzeczywistości. Z punktu widzenia zagadnienia entuzjazmu nie mniejsze znaczenie ma walka, jako czynnik konstrukcyjny, walka jako budownictwo, walka jako twórczość. Możność uzyskiwania konkretnych osiągnięć, dochodzenia do rezultatów, realizowania, stanowi olbrzymią pobudkę i podnietę dla powstawania entuzjazmu. Walka, jako czynnik negatywny, porywa swą rewolucyjnością, swą romantycznością, swą dynamiką. Ale działają w niej również i momenty hamujące, wzdryganie się przed samą negacją, strach przed bezpłodnością, utopijnością, nierealnością. Walka, jako czynne przetwarzanie rzeczywistości, budzi w nas pierwiastki zapału i entuzjazmu przez swój realizm, przez swój rozmach tworzenia, przez świadomość skuteczności wysiłków. Rewolucja francuska czy rosyjska wywołały wybuch płomieni entuzjazmu. Ale źródła entuzjazmu tkwią również w budownictwie socjalistycznem państwa sowieckiego, w wysiłkach twórczych samorządu socjalistycznego, nawet w konkretnych osiągnięciach, które daje praca organizacyjna. Różnią się te rodzaje entuzjazmu może pod względem swych przejawów. Entuzjazm rewolucyjny jest bardziej wybuchowy, entuzjazm budownictwa pali się jak równy płomień lampy. Każdy z nich ma swoje war-

tości dostosowane do zagadnień, jakie przed nim stoją, do celów, którym ma służyć.

Teraźniejszość jednak niezawsze nastręcza możliwości konkretnej twórczości. Muszą dla niej istnieć warunki objektywne. Tylko budownictwo planowe, zorganizowane w potężnej skali i mające warunki trwałości — może zapalić nasze serca. Drobne, często przypadkowe, łatwo się rozpadające osiągnięcia — budzą zniechęcenie i nie zachęcają do wysiłków. Czyż katastrofa samorządu wiedeńskiego (i wielu innych) nie osłabia entuzjazmu dla socjalistycznej pracy samorządowej w państwie burżuazyjnem? Czyż konfiskata domów organizacyj robotniczych w Niemczech może zachęcić do budowania podobnych domów w innych krajach, gdzie granice zachłanności faszystowskiej są trudne do przewidzenia? Entuzjazm może powstać z realizmu, ale musi to być istotnie realizm. Realistą prawdziwym bowiem nie jest ten, który zadawala się małem. Jest nim ten, kto może coś istotnie osiągnąć.

Entuzjazm budzi również przyszłość. Jest ona może najbardziej zasadniczem źródłem entuzjazmu. W przeszłości zdolne są rozbudzić entuzjazm tylko te czynniki, które są związane z przyszłością. Teraźniejsze walki są zwrócone twarzą ku przyszłości, są związane z pewną koncepcją przyszłości. Budownictwo dzisiejsze jest przecież budownictwem dla przyszłości. Stwierdziliśmy na wstępie, że entuzjazm jest pomostem między ideą, a jej urzeczywistnieniem, a więc między planem przyszłości, a jej tworzeniem. Nasze dążenia, nasze cele, nasze zamierzenia — oto główny zbiornik entuzjazmu. Entuzjazmujemy się nietylko dlatego, że nasi przodkowie byli entuzjastami, że temperament walki nas porywa, że tworzenie nas zapala, ale w pierwszym rzędzie dlatego, że czegoś chcemy, że jakiś cel wydaje się nam tego godny. W czynnikach przyszłości nasz entuzjazm znajduje swoje uzasadnienie.

Rola przyszłości i wpływ jej na rozwój entuzjazmu zależą od szeregu warunków. Inaczej oddziaływują zagadnienia dalekiej, inaczej zagadnienia bliskiej przyszłości. Cel odległy, którego kontury niejasno i mgliście zarysowują się przed naszemi oczyma, nie działa tak silnie pod względem emocjonalnym, jak idea, której zbliżanie się, której urzeczy-

wistnianie się właśnie odczuwamy. W epoce, gdy kapitalizm stał u szczytu rozkwitu i pomyślności, klasa robotnicza znajdowała się silniej pod wrażeniem bezpośrednich zadań codziennej walki, walki o poprawę bytu i o reformy polityczno - społeczne, aniżeli zasadniczych haseł o przekształceniu ustroju. Tylko w takiej atmosferze mogło powstać twierdzenie, że cel ostateczny jest niczem, że wszystkiem jest dążenie do niego. Z chwilą jednak, gdy weszliśmy w okres bezpośredniej walki o socjalizm, gdy nietrwałość dzisiejszych form ustrojowych nie ulega wątpliwości, gdy przyszłość socjalistyczna nadchodzi szybkiemi krokami, gdy na terenie wielkiego państwa socjalizm już się buduje, ideały owej idącej ku nam przyszłości stają się źródłem najsilniejszych emocyj, stają się skarbnicą entuzjazmu.

Ten przegląd podstaw genetycznych entuzjazmu, któregośmy dokonali, pozwala nam wyciągnąć pewne wnioski i wskazania. Przed socjalizmem stoi ważne zagadnienie umasowienia entuzjazmu. Rola tradycji rewolucyjnej, jak stwierdziliśmy, może tu być niewielka. Nie lekceważymy sobie znaczenia przeszłości, ale jeżeli czynimy ją głównem źródłem naszych emocyj, jesteśmy na błędnej drodze. Dzień dzisiejszy socjalizmu nie posiada również wielu pierwiastków, zdolnych do rozpalenia entuzjazmu. Możliwości pracy konstrukcyjnej prawie niema. Te niewielkie, które były, przestały przeważnie istnieć. Walki współczesne są jałowe i naznaczone typowemi cechami okresu bierności,

Pozostaje jednak główne źródło entuzjazmu: przyszłość. Przyszłość, która w całej swej piękności i grozie zbliża się wciąż ku nam. Jej zagadnienia muszą się stać czołowemi zagadnieniami naszej współczesności, koło nich muszą skupić się główne nasze zainteresowania. Realizm daje nam nieraz nauczkę: żyjmy tem, co nam dzień dzisiejszy przynosi, jutro jest jeszcze nieznane. Bywają jednak okresy w historji, kiedy najwięcej realizmu ma polityka przyszłości. Są chwile, kiedy na czoło wysuwa się pytanie: co jutro zrobimy?

Zwróćmy swe oczy ku tym zagadnieniom. Im więcej ku nim zbliżać się będziemy, tem szerzej rozlewać się zacznie fala entuzjazmu.

Dr. JÓZEF LOOS

WYMOWA CYFR

Przeobrażenia psychologiczne zachodzące w masach stanowią jedną z najważniejszych podstaw taktyki socjalistycznej. To co się tak popularnie nazywa nastrojem, czego często nie można przyczynowo wytłumaczyć ani ująć w jakieś widoczne kształty, jest jednak współczynnikiem politycznym niesłychanej wagi. Dlatego nauka o psychologji mas, będąca dotąd niestety kopciuszkiem myśli socjalistycznej, powinnaby skupić dokoła siebie jaknajwięcej badawczego wysiłku.

Jeżeli się dzisiaj ktoś przypatruje powierzchni życia politycznego w Polsce, odnosi wrażenie martwoty i ciszy. Oko nie widzi aktywnych, wielkich ruchów masowych opowiadających wystąpieniami mas za ustrojem czy przeciw ustrojowi. Ucho nie chwyta krzyku miljonów za systemem ani przeciw systemowi; masy są naogół bierne, znękane i rozczarowane. Wszystko stoi i trwa jakby skamieniałe i wieczne, wśród pustyni bez wichrów i burz.

Krajobraz powierzchni życia politycznego ma w sobie tyle smutku i beznadziejności, że nastraja niejedną myśl ku rezygnacji.

A jednak pod tą powierzchnią jakby spokojną i cichą toczy się nurt walk społecznych zaciętych i rozpaczliwych, płynąc bez przerwy i bez wytchnienia. Tylko, wiry podziemne wypływające to tu, to znów tam, a czasem ryjące sobie drogę pod ziemią, mało kiedy dadzą się uchwycić na kliszy i przedstawić obrazowo i namacalnie.

Chciałbym więc tutaj omówić niektóre fragmenty walk społecznych toczonych w Polsce w latach ostatnich, które dadzą się ustalić cyfrowo.

Sądowe procesy polityczne ostatnich lat nie skupiają już uwagi powszechnej w takim stopinu, jak ją skupiały niegdyś, przed laty. Toczą się dzisiaj mimo jawności przy znacznem zobojętnieniu. A jednak mieści się w tem zja-

wisku społecznem jak w żadnem innem barometr stabilizacji stosunków. W państwie, w którem rzeczywista wola jego obywateli nie może zawsze znaleźć jawnego wyrazu, miarą trwałości panujących stosunków nie jest tylko powierzchnia życia politycznego, ale i jego podziemia. Stąd znaczenie procesów politycznych.

Weźmy cyfry. Ilość procesów politycznych rosła w ostatnich latach z roku na rok, mimo zaostrzającej się surowości w wymiarze kary za przestępstwa polityczne.

W latach tych skazano za przestępstwa przeciw państwu, a więc tylko w poważniejszych procesach politycznych:

Rok	Skazano osób
1925	315
1926	608
1927	810
1928	1.200
1933	2.334

Ilość osób skazanych (jest w tem bardzo mały procent osób skazanych za szpiegostwo, których nie można zaliczyć do kategorji obwinionych o polityczne przestępstwa) wzrastała w ten sposób jak już powiedziano, mimo rozwijającej się siły represyj. Oto kilka przykładów: W 1925 roku skazały sądy na 1.450 osób sądzonych za przestępstwa przeciw państwu 315 osób, to jest 25% oskarżonych, 75% oskarżonych o przestępstwa polityczne sądy uniewinniły. W latach następnych zmieniał się stopniowo ten stosunek w ten sposób, że rosła ilość wyroków skazujących, malała liczba wyroków uniewinniających. W roku 1932 sądy skazały już na 3.336 osób oskarżonych o przestępstwa polityczne, 2.334 osób, to jest 69% oskarżonych, uniewinniając już tylko 31% oskarżonych. Podobny rozwój dokonuje się z roku na rok w więzieniach, w których rośnie ilość więźniów politycznych. Niestety trudno nawet dla naukowych celów oprzeć obliczenia na danych publikowanych przez ministerstwo sprawiedliwości, ponieważ dane te nie są współmierne z ilością zapadających w sprawach politycznych wyroków skazujących.

Podamy więc je tylko dla orjentacji:

Rok	Więźniów politycznych	W procentach
1926	2.227	7.3
1927	1.981	7.1
1928	2.498	8.3
1939	2.449	9.7
1930	2.785	9.2
1931	4.160	11.5

W roku 1931 ogłoszono po raz ostatni oficjalne dane dotyczące liczby więźniów politycznych i od tego roku Ministerstwo Sprawiedliwości danych tych już więcej publicznie nie ogłasza. Cyfra ich jednak od tego czasu znacznie wzrosła i pozostaje w ścisłym stosunku z wzrostem ogólnej ilości więźniów, która w latach 1932, 1933 i 1934 podskoczyła z cyfry 36.130 na 46.451 więźniów, osiągając w niektórych więzieniach oficjalne zaludnienie sięgające do 133% pojemności.

Jest to w zasadzie tylko jeden fragment walk społecznych, fragment, na który składają się dążenia klasowe i narodowościowe a nieraz i dążenia konkurencyjne zwalczających się faszyzmów, fragment na którego cyfrowy wyraz wpłynął w dość znacznej mierze „ostry kurs“ i wzmożona gorliwość policji i sądów. Niemniej jednak cyfry te mają mimo tego swoją wymowę. Każda ich jednostka świadczy przecież o tem, że się poza nią kryje człowiek, który robi coś albo myśli w sposób, który obecny ustrój czy system uważa dla siebie za niebezpieczny. Skoro te cyfry rosną, rośnie i ilość osób, których wrogiej aktywności system się boi, rośnie ilość aktywnych przeciwników systemu. Jest to wytrysk strumienia, który płynie pod ziemią i zasypywany i wstrzymywany rozszerza się jednak bezustannie.

Weźmy inny fragment walk społecznych toczonych w ostatnich latach w Polsce już o obliczu czysto klasowem i proletarjackiem.

Strajki lat ostatnich, prowadzone przez proletarjat polski w obronie warunków bytu, wskazują taką samą tendencję wzrostu społecznych sił oporu i aktywnych dążeń. Mimo niezwykle niekorzystne warunki gospodarcze, a zatem i

psychologiczne, które osłabiały wolę walki u robotnika widmem wydalenia z pracy, bezrobocia, czy nieuruchomionej fabryki, lata ostatnie są świadkami stałego wzrostu fali strajków. Zarówno ilość strajków jak i ich zaciętość rośnie (po dwuletniem załamaniu się w latach 1929 i 1930) bezustannie mimo bezrobocia, kryzysu i wszystkich niekorzystnych warunków:

Rok	Liczba strajków	Liczba strajkujących	Przestrajkowane dni robocze
1926	590	145.000	1.423
1927	616	235.000	2.455
1928	769	354.000	2.788
1929	494	217.000	994
1930	312	48.000	368
1931	357	107.000	592
1932	504	314.000	2.094
1933	631	342.000	3.903

Jak widać z tego zestawienia fala gospodarczych walk społecznych toczonych w zakładach pracy załamuje się w 1929 roku, pierwszym roku kryzysu, osiągając w następnym roku najniższy poziom depresji i bezbronności proletarjatu. Już jednak od 1931 roku wzrastają spowrotem siły oporu i wola walki.

I znowu widzimy to samo zjawisko, że pod powierzchnią jakby zupełnie ochłodzoną i zobojętniałą gromadzą się jednak żywe i czynne energje, które nie nikną lecz rosną.

Bierność mas, która jest niewątpliwie zjawiskiem wciąż jeszcze aktualnem a przełamanie której pozostaje najważniejszem zadaniem naszego obecnego myślowego i czynnego wysiłku, nie jest jednak wulkanem zimnym i wygasłym. W masach tlą i żarzą się siły, dążenia i energje, które chwilowo przysypał popiół przeżyć i rozczarowań i przygasiła fala trosk codziennych, lęku i represyj.

Ale tam w dole ludzie myślą i dążą; toczą się walki społeczne i płynie nurt gorący i nieprzezwyciężony.

T. ŚWIECKI

Starzy i młodzi w ruchu socjalistycznym

Im bardziej pogłębia się kryzys gospodarczy, im staje się oczywistsza socjalistyczna teza, że posiada on charakter strukturalny, tym żywsza w masach i bardziej ugruntowana staje się wiara w socjalizm. Nikogo nie przekonały głosy prasy burżuazyjnej, stwierdzającej rzekome bankructwo socjalizmu w tym samym czasie, kiedy burżuazyjni teoretycy, publicyści, działacze i reformatorzy w podejmowanych próbach przełamania kryzysu dawali świadectwo żywotności myśli socjalistycznej, montując swoje poglądy na wyrwanych z teorji socjalistycznej fragmentach.

Wbrew też głosom prasy burżuazyjnej wzrasta, nie maleje, w coraz szerszych kołach zaufanie do marksowskiej djalektyki, do zasad naukowego socjalizmu. Coraz też powszechniejsza staje się świadomość, że tylko w płaszczyźnie tych zasad można znaleźć właściwe wyjaśnienie zachodzących dokoła nas zjawisk.

Nie zatem w podważaniu zaufania do marksizmu jako metody myślenia, nie w osłabieniu w masach wiary w socjalizm jako teorji szukać należy przyczyn osłabienia ruchu socjalistycznego. Mówimy oczywiście tylko o krajach w mniejszym lub większym stopniu opanowanych przez faszyzm, tylko bowiem w tych państwach może być mowa o osłabieniu ruchu socjalistycznego.

Nie można również osłabienia ruchu socjalistycznego w tych krajach tłumaczyć wyłącznie klęskami, poniesionemi przez ten ostatni w walce z faszyzmem, objektywna bowiem ocena międzynarodowej sytuacji pozwala stwierdzić, że stopień osłabienia ruchu socjalistycznego w różnych państwach faszystowskich nie tyle zależy od rozmiaru poniesionych klęsk, ile od tego w jakim stopniu ruch socjalistyczny w da-

nym kraju zdołał zmienić formy działania i przystosować je do zmiany warunków wywołanych zwycięstwem faszyzmu.

Już sam ten fakt jest dostatecznie ważkim argumentem za celowością analizy założeń taktycznych istniejących partyj socjalistycznych, nie mniej przecież ważkim argumentem jest coraz jaskrawsza dysproporcja między wzrastającą atrakcyjnością w masach socjalizmu jako teorji, a nie nadarzającym za tem zasięgiem wpływów istniejących partyj robotniczych na masy, zwłaszcza na młode pokolenie. Nawołując do tej analizy dalecy jesteśmy od naiwnej wiary, ażeby polityka partyj robotniczych mogła zależyć wyłącznie od takiego czy innego rozwiązania teoretycznego zagadnień praktycznych, doceniamy w całej pełni wszakże wartość dla ruchu socjalistycznego teoretycznego przepracowania tych zagadnień jako konsekwencyj teorji socjalistycznej w stosunku do aktualnej fazy rozwoju walki klas.

Analiza ta o ile ma spełnić swoje zadanie, nie może mieć na celu ustalenia czyichkolwiek win, ani dostarczania podstawy do oskarżeń pod czyimkolwiek adresem, musi zaś zmierzać do jaknajbardziej objektywnej oceny zgodności tych założeń z zasadami marksizmu, oraz ich celowości w dzisiejszych warunkach.

Rzeczowa analiza tych założeń nabiera zwłaszcza wartości w momentach, kiedy w interesie ruchu robotniczego leży przezwyciężenie przewagi tradycji w polityce partji socjalistycznej. Nie popełnimy błędu zaliczając do tych momentów chwilę obecną. Objektywna ocena sytuacji np. u nas uprawnia do twierdzenia, że w tej przewadze tradycji w polityce partyj socjalistycznych tkwi przyczyna ich biernej postawy i bezsilności wobec splotu aktualnych zagadnień i spraw. Byłoby błędem doszukiwać się przyczyn tego stanu rzeczy tylko w nastawieniu przywódców. Gdyby tak było, gdyby jedynie wola przywódców grodziła masom drogę do właściwego łożyska, ruch robotniczy przeszedłby już dawno ponad ich głowami, pozostawiając im niewdzięczną rolę wodzów bez wojska. Niewątpliwie najistotniejsze przyczyny tkwią w trudności zwekslowania nastawienia mas na nowy tor.

Faszyzm przebudowując od podstaw ustrój polityczny zamyka wszystkie drogi socjalizmowi oddziaływania na rze-

czywistość. W przebudowanych na nowych podstawach: parlamencie, samorządzie, związkach zawodowych socjaliści nie mają i nie mogą mieć pola do działania. Ich udział w tych instytucjach staje się coraz bardziej beznadziejny i bezcelowy. Nietylko w szerszem znaczeniu realizowania poprzez te instytucje nowego ustroju społecznego, ale i w zakresie węższym, dotychczasowym — doraźnych drobnych korzyści zdobywanych dla klasy robotniczej. W warunkach policyjnego państwa nie może być nawet mowy o wyzyskaniu tych instytucyj jako trybuny rewolucyjnej. Socjaliści więc nietylko nie mają nic do roboty w tych instytucjach, ale nawet niewiele również do gadania. Udział też ich w tych instytucjach dzisiaj wynika raczej z tradycji niż z rzeczywistch potrzeb ruchu robotniczego w obecnej fazie rozwoju walki klas. Wieloletni współudział socjalistów w rozbudowywaniu demokracji mieszczańskiej, osiągnięte na tej drodze zdobycze dla klasy robotniczej utrwaliły określone formy działalności, obudziły w starszem pokoleniu, biorącem udział w życiu robotniczem, związanem wysiłkiem najlepszych lat pracy z tradycją walk parlamentarno-samorządowych, przywiązanie do tych form, wiarę niewzruszoną w ich celowość.

Ta wiara stoi na przeszkodzie ustaleniu właściwych założeń taktycznych w postaci wyciągnięcia konsekwencyj z oceny obecnej sytuacji na podstawie zasad naukowego marksizmu.

Młode pokolenie wolne od tej tradycji widzi i odczuwa w całej pełni bezcelowość i beznadziejność uporczywego trzymania się form działalności wyrobionych w okresie demokracji mieszczańskiej, zdaje sobie sprawę, że świat pracy na tej drodze, w obecnem stadjum walki klasowej nic wygrać ani zdobyć nie może, że rola socjalistów w faszystowskim parlamencie czy samorządzie sprowadza się do roli bezsilnych świadków odbierania klasie robotniczej nawet tych skromnych zdobyczy, które osiągnęła w okresie demokracji mieszczańskiej.

Młode pokolenie wolne od tej tradycji z właściwym sobie rozmachem dąży do przełamania tradycjonalizmu w polityce partyj socjalistycznych i oparcia tej polityki o konsekwentnie i odważnie wyciągnięte wnioski z oceny obecnej

sytuacji gospodarczo społecznej przez naukowy socjalizm. Patrząc na obecny kryzys, jako na kryzys strukturalny nie jest skłonne do podejmowania obrony demokracji mieszczańskiej, uważając jej rolę za skończoną.

Nie przeżywa też osłabiającego energję starszego pokolenia rozczarowania, że nowego ustroju nie da się osiągnąć na drodze ewolucyjnego przekształcenia demokracji mieszczańskiej w demokrację robotniczą. Skłonne jest zatem bardziej niż starsze pokolenie przyjąć wyzwanie wojującego faszyzmu, skłonne jest stanąć na stanowisku, że wszędzie tam, gdzie faszyzm doszedł do głosu walka klas weszła w stadjum rewolucji. Faszyzm, w jej rozumieniu, usiłując zabiec drogę rewolucji socjalnej, wybrał i przesądził broń w zbliżającej się ostatecznej rozgrywce walki klas. Broń ta nie ma nic wspólnego z kartką wyborczą. Nie opowiadając się też za bojkotowaniem wyborów do parlamentu, czy samorządu młode pokolenie nie jest bynajmniej skłonne przypisywać udziałowi socjalistów w obecnych warunkach w tych instytucjach poważniejszego znaczenia.

Droga też odzyskania wpływów na młode pokolenie prowadzi niewątpliwie przez podjęcie nowych odpowiadających zmienionym warunkom a budzących zaufanie mas form działalności.

SEWER ZARĘBA

Perspektywy współczesnej kultury

I.

Truizmem jest już dzisiaj sąd, że istnieje jak najściślejsza współzależność kutlury materjalnej i duchowej. Tem niemniej należy go przypomnieć. Chodzi tu nietylko o to, iż z ogólnego zasobu wartości kulturalnych, z ogólnego stanu kultury niesposób dokładnie wydzielić wartości materjalne i osobno wartości duchowe, tworzą one bowiem nierozerwalny splot. Chodzi też o to, że społeczeństwo pasterzy, myśliwych lub pierwotnych rolników nie stworzy ani filozofji Kanta, ani rachunku różniczkowego, ani nie odkryje zasad termodynamiki, ani nie wyda Rembrandta, Mozarta, Göthego, czy nawet tęskniącego za stanem, natury Rousseau'a, podobnie, jak społeczeństwo Rotszyldów, Stinnesów, Fordów i Morganów nie zrealizuje w praktyce głoszonych przez nie zasad dekalogu. Jest to — powiadam — truizm. Ale wobec ciągle ponawianych ataków na tę prawdę ze strony burżuazyjnych i klerykalno-faszystowskich ideologów trzeba z całym naciskiem podkreślić: istnieje ścisła współzależność kultury materjalnej i duchowej; ponieważ zaś o kulturze materjalnej decyduje sposób i stan produkcji, kwestja własności środków produkcji oraz sposób rozdziału dochodu społecznego, zatem w ostatnim rzędzie także o ogólnych ramach kultury duchowej, o jej możliwościach, o jej głębi, o jej potencjalnym zasięgu — decyduje gospodarka.

Ta zależność jest dwufazowa. Raz objawia się ona w fakcie wpływu, jaki wywiera każdorazowo treść i forma działalności gospodarczej na strukturę ideologiczną społeczeństwa, na stosunki klasowe, na formy polityczne, na sposób myślenia. Drugi raz odzwierciadla się w bezpośrednim wpływie zamożności poszczególnych warstw społecznych zarówno na podaż, jak i na popyt wartości duchowych.

Przyzwyczailiśmy się cenić przynajmniej w teorji wartości duchowe wyżej niż wartości materjalne. Mojem zdaniem nie jest to jedynie wpływ wychowania lub „nienaukowy idealizm", jakby powiedział naiwny materjalista. Jest to świadomy lub nieświadomy hołd, jaki składamy pewnym właściwo-

ściom komórek naszego mózgu, jest to zdobyte drogą wielowiekowej empirji przeświadczenie, że gdyby nie te właściwości, to człowiek zatrzymałby się na stopniu kultury materjalnej odpowiadającej innym ssakom, lub nawet niższorzędnym gatunkom zwierząt. Brzmi to może paradoksalnie, ale tem niemniej najważniejsze kryterjum wartości duchowych jest wynikiem tkwiącej w nas tendencji do zdobywania jak największej ilości i różniczkowania jakości dóbr materjalnych drogą jak najmniejszego wysiłku.

Być może, że w tem twierdzeniu brzmią jakieś echa filozofji utylitarystycznej. Ale w żadnym razie nie jest to płaski utylitaryzm życiowy burżuazji. Jest to jedynie powtórzona w innej formie — formie opartej na rozumowaniu tak biologicznem, jak i socjologicznem—teza „homo oeconomicus". Tak czy owak mimo przeświadczenia, albo raczej dzięki przeświadczeniu o tak ścisłej i różnorakiej współzależności kultury materjalnej i duchowej, przyzwyczailiśmy się tę drugą cenić wyżej. Niszczenie ogromnej ilości dóbr materjalnych i odbieranie masom możności korzystania z nich budzi w świecie kapitalistycznym tylko niemą litość dla cierpiących pod jarzmem kryzysu. Palenie książek przez rząd hitlerowski wywołało burzę protestów nawet ludzi, którzy obiema nogami stoją na gruncie kapitalizmu, klerykalizmu, a czasem i jakiegoś bladego faszyzmu. Ale ideologom współczesnej większej lub mniejszej reakcji, którzyby z pewnością oburzyli się na takie „materjalistyczne" wyjaśnienie źródła prymatu ocennego wartości duchowych, możemy z łatwością — opierając się tylko na gołych faktach — zarzucić, że są obłudni: albowiem ich idee społeczne i stanowisko ich wobec współczesnych zagadnień gospodarczych prowadzi wprost do degradacji lub nawet zagłady kultury duchowej. Nie ten broni ducha, kto deklamuje o nim, jako o prażródle bytu, i nie ten eliminuje go z życia społecznego, kto wskazuje na jego rzeczywisty związek z innemi elementami ludzkiego istnienia.

Wśród wartości duchowych możemy dla celów praktycznych przeprowadzić pewien podział, daleki zresztą od jakiejkolwiek ścisłości. I tak wyróżnimy najpierw wiedzę i naukę. Mają one raz charakter utylitarystyczny, drugi raz poznawczy. Raz są świadomym środkiem do osiągnięcia wartości ma-

terjalnych, inny raz są wynikiem wrodzonej ludziom dążności do poznania, posiadającej podkład biologiczny, utylitarny tylko o tyle, o ile wszystkie czynności człowieka podporządkowane są utylitarnym w swej istocie, ale przeważnie w podświadomości tkwiącym, instynktom. Wielcy uczeni rzadko kierują się w swych badaniach bezpośrednio utylitarystycznemi motywami. Chęć poznania rzeczywistości jest dla nich najczęściej sama w sobie motywem badań naukowych, ale chęć ta ma biologiczne uzasadnienie. Podobnie znajdziemy wielu ludzi opanowanych gorączką ciągłego uczenia się, poznawania, badania, dla których — psychologicznie i społecznie rzecz biorąc — jest ich praca naukowa celem samym w sobie. Biologicznie jednak ucieleśnia się w tej formie utylitarne w skali ogólno-gatunkowej oddziaływanie instynktu.

Dalej wyróżniamy sztukę, która działa za pośrednictwem emocyj estetycznych. Fakt, że piękno przemawia do człowieka, że sprawia mu przyjemność, że działa na niego psychicznie w sposób przekonywujący, jest wyzyskiwany w społeczeństwach klasowych w właściwy dla społeczeństw tych sposób. Ale nietylko w tej formie objawia się dziś klasowy charakter sztuki. Nietylko przeciętny konsument, ale także przeciętny producent piękna nie kontroluje swych emocyj estetycznych rozumem — ale poprostu odczuwa je. W sferze niekontrolowanych rozumem odczuć wpływ środowiska, klasy, nastroju społecznego, stanowiska w produkcji, wychowania jest zatem tem silniejszy, im mniej świadomy. Jasnorzewska, pisząc swe kobieco-liryczne perełki słów i strof, napewno nie działa świadomie w kierunku odciągnięcia kobiet od myślenia kategorjami twardej i gminnej rzeczywistości, a zatem odciągnięcia od walki. Jeśli jednak marksista powie, że ta napozór tak pozaklasowa poezja jest w swej istocie i tak klasowo-burżuazyjna, to ma na myśli dwie rzeczy: że w sferze niekontrolowanych rozumem odczuć krętemi drogami, ale bardzo silnie oddziałały na poetkę poprostu interesy i sposób myślenia jej klasy; i że dziś poezja ta jest kontrrewolucyjna w swych skutkach, w swem oddziaływaniu na konsumenta — także dzięki krętym drogom niekontrolowanych odczuć tego konsumenta.

Fakt, że człowiek lubi piękno, że piękno na niego działa, że przyjemność sprawia mu zarówno produkcja, jak i kon-

sumcja piękna — jest w swej istocie nieklasowy, jest psychologiczną formą, która jednak w społeczestwach klasowych została wypełniona klasowo-społeczną treścią.

I wreszcie trzecia grupa wartości duchowych, to etyka. W psychice jednostki przeżycia etyczne — mówię o ich treści, nie o ich formie, która jest jednolita i samodzielna — mogą mieć albo charakter zasadniczy, albo utylitarny, celowościowy, albo wreszcie estetyczny. Każda grupa społeczna tworzy system etyczny właściwy jej stanowisku w produkcji, a nadto odpowiadający ogólnemu stopniowi rozwoju społeczeństwa. O ile więc jednostka rozmaicie może oceniać charakter swych emocyj etycznych, o tyle jednak społecznie emocje te ujęte są w pewien określony system i u żadnego człowieka nie są dziełem przypadku, lecz wiernem odbiciem dynamiki socjalnej danej epoki. Nakaz wewnętrzny zaniechania kradzieży może jakiś osobnik uważać za umotywowany np. jedynie zasadniczo (bo kradzież jest zła, jako taka, sama w sobie) — tem niemniej jednak fakt, że motywacja zasadnicza o tej treści w nim się wytwarza, jest uwarukowany społecznie. Kłamstwo może ktoś uważać za rzecz brzydką bez względu na konsekwencje; wartościuje je więc estetycznie. Ale znowu fakt powstania tej motywacji ma charakter społeczny. I wreszcie etyka utylitarystyczna (nie kradnij, bo pójdziesz do więzienia, nie kłam, bo pójdziesz do piekła) uzależniona jest bardzo wyraźnie od stosunków i pojęć, panujących w społeczeństwie, lub w danej klasie społecznej.

Społeczne podstawy powstawania systemów etycznych są oczywiście cechą wszystkich ustrojów społecznych. Ale rzecz dziwna, że ustrój kapitalistyczny rozwinął niebywale utylitarny typ motywacji etycznej, typ zatem, odpowiadający właściwie niekulturalnemu dzikusowi. Dopiero kiedy zniknie epoka produkcji dla zysków i pogoń za zyskiem, rozwinie się w pełni zasadnicza lub estetyczna motywacja naszych przeżyć etycznych. (Nawiasem zaznaczam, że ani zasadniczej ani estetycznej motywacji nie nazywam za niektórymi psychologami niezależną w przeciwieństwie do teologicznej).

W ten sposób należy rozumieć, mojem zdaniem, niektóre ogólne pojęcia podziałowe dotyczące socjologji kultury, zanim można przystąpić do rysowania perspektyw kultury współczesnej.

EDWARD SZYMAŃSKI

Intelektualizm

Kraty dni oprawione w cukierkowy ołów —
niech lizanie ułatwia bieg marzeń.
Na wklęsłych szybkach przeżyć od góry do dołu
standaryzowane witraże.

Gładko strudzone oczy spłyną wdół
roztkliwieniem pachnącem.
Grą barw może się karmić artystyczny duch,
załamujący słońce.

Wyżej sina błękitność. Na dole drży cień
— głąb jaźni.
Źrenicom tęcza, piersiom granat i czerń
ciężarem niewyraźnym.

Słodki jest symbolizmu elitarny nektar.
Alkohol mdły, lecz tańszy.
Ciąg idej, to właściwie sublimacja ekstaz
Don Kichota z Manszy.

A kiedy w trzech wymiarach rozwiesi się *ego*
— immanentną świętość,
cóż znaczy, że jej funkcje mocno, panie tego,
za mordę wzięto?

Więc spokój i samotność. Syto i wygodnie
w idealizmu mgle cichej.
Na szczeble pełni doznań potrafi się podnieść
tylko giętka, relatywna psyche.

Drga hierarchja od podstaw. Och! Ziemia się kręci!
Sugestja, czy agonji atak?
Trzymać się jak najmocniej, trzymać się poręczy
przy witrażowych kratach!

LEON KRUCZKOWSKI

W Wierzchowicach dzielą wspólnotę...

(fragment z powieści „Pawie pióra“)

Pastwisko gminne leżało w dolnej części wsi. Szerokim, blisko półkilometrowym pasem ciągnął się wzdłuż gościńca, aż ku odległej ścianie lasu — płaski, płytkiemi wklęsłościami znacznie pofalowany obszar łysego wygonu, pokryty nędzną, zrudziałą trawą zeszłoroczną. Tu i ówdzie, jak brudne liszaje widniały w gruncie niewielkie rozkopiska, bylejak różnemi czasy odkrywane doły, z których glinkę wybierano.

Tego rana krzątało się kilkoro ludzi na skraju wygonu. Bryczka, zaprzężona w parę koni, stała nieopodal na gościńcu. Dwaj pomocnicy geometry znosili z niej skrzynki z narzędziami, tyki miernicze i pęki palików. Starszy, wąsaty pan w sztylpach i w krótkim kożuszku, z pękatą teką w ręce, rozmawiał z Biedrawą i Płonką, którzy, jako pełnomocnicy gminni, asystować mieli czynnościom pomiarów. Kręcił się przy nich też przysiężny Spyra, ważną udając osobę.

On właśnie pierwszy dojrzał zdaleka nadciągającą od wsi gromadę mężczyzn i kobiet.

— Patrzcie no, wójcie! — trącił Biedrawę w ramię i wskazał ręką na drogę.

Pan w sztylpach i urzędnicy gminni spojrzeli w tamtą stronę. Dwaj pomocnicy geometry przerwali pracę i stanęli, zaciekawieni i niepewni, nieopodal swego pryncypała.

A tłum z gościńca, przełażąc przez przykopę, wkraczał już na rozmokły grunt pastwiska. Szedł gęstą, bezładną kupą, może z sześćdziesiąt głów, w głuchem stężały milczeniu, coraz wolniej, jakby w zawahaniu nagłem. Ci, co przodem kroczyli, mieli twarze zacięte i ponure. W tyle jednak jakgdyby ciżba rozluźniać się zaczęła, rozłazić nieznacznie na boki. Budziły się tam płochliwe, niespokojne szepty.

Biedrawa przyglądał się zpodełba tym, co szli na czele.

Na kilka kroków przed urzędową gromadką tłum zatrzymał się niezdecydowanie. Narazie, w kłopotliwej ciszy, słychać było tylko prędkie, zdyszane oddechy wielu piersi

— Czegóż tu chcecie, ludzie? — rzucił Biedrawa krótkie, zjadliwe pytanie. Brzmiała w niem stateczna pewność siebie i jakaś niewyraźna groźba, czy przestroga.

Z tłumu wszystkie spojrzenia odrazu poszukały radnego Zydronia. Stał on tam, w pierwszym szeregu, szczupły i niepokaźny, dziwnie lichy naprzeciw rosłej postaci Biedrawy. W przybladłej twarzy, przeciętej czarnym, cienkim wąsem, mężnie patrzyły przedsię oczy szare, uporczywe, przejrzyste, jak gładź lodu.

— to przecie wiadomo, wójcie! — rzekł spokojnie, niemal dobrodusznie. — Gminnego dzielić my nie dopuścimy!

— nikt tu niema, moiściewy, nic do gadania! — z politowaniem roześmiał się Biedrawa.

— ono się dopiero okaże, wójcie...

— przestalibyście, Zydroń! — wtrącił się z napomnieniem Płonka. — Tu się urzędowanie odbywa...

— my prosimy, żeby tego urzędowania zaniechać!

— niczego tu takiego nie potrzeba! — powiedział któryś głośno, tuż za plecami Zydronia.

— ajno! nie trzeba! nie potrzeba! — ozwały się śmielsze głosy w ciżbie; tłum poruszył się z szemraniem niespokojnem.

Geometra powiedział coś półgłosem do Biedrawy, a potem, gdy wrzawa ucichła, podniósł rękę nakazująco.

— moi ludzie! — zawołał, głosem cokolwiek ochrypłym — Chcę zwrócić wam uwagę, że wasza obecność tutaj do niczego nie prowadzi! Ani wasza, ani niczyja wola nie zdoła obalić prawnie uskutecznionej parcelacji tego obszaru i nabywcy muszą wejść w posiadanie swoich części, bo w razie potrzeby przyjdzie im z pomocą rząd, chociażby z całą siłą!

Tłum słuchał z natężoną uwagą, z przejęciem. Zwłaszcza ostatnie słowa wywarły pewne wrażenie. Ten i ów kiwał głową w potakującym zamyśle. Gdy geometra skończył, zaległa znów ponura, groźna cisza.

Przerwał ją niespodzianie dziadek Krzywoń, który miał słuch cokolwiek przytępiony.

— co ten gadał, kumie? — spytał ciekawie, trącając w bok sąsiada.

Lecz zanim tamten zdołał odpowiedzieć, w tłumie, gdzieś ze środka, ostry, kobiecy głos zakrzyknął rozdzierająco:

— a z naszemi bydlątkami, panie, to co będzie?!

Prześwidrował ten krzyk powietrze i sieknął przez ciżbę ludzką, jak smagnięcie bata. W zwartem jestestwie tłumu poderwała się od niego żarliwa furja wściekłości, rozpaczy i drapieżnego instynktu obrony. W obnażoną świadomość rzeczy chlusnął ten wrzask kobiecy, jak strumień palnego płynu na rozgrzaną blachę.

— ajno! co będzie z bydlątkami?

— z krowami, panie?

— z gąsiętami?

— gdzie my to-to wyganiać będziemy?

— widzieliśta! jakie porządki nowe!

— co przecie zawsze my paśli...

— ajno! jakby my żyli bez tego?

— bez pasowiska, widzieliśta!

— rządy ich zatracone!

— psiekrwie, złodzieje!

— patrzcie-no ich!

— kmotry djabelskie!

Darli się, jedno przez drugie. Baby najstraszniej ujadały. Taka się zrobiła wrzawa i zamęt piekielny złorzeczących głosów, że niepodobna było zrozumieć w tem cokolwiek, prócz strzępów klątw najsroższych i wymysłów.

Geometra wzruszył ramionami. Obaj z wójtem odeszli kilka kroków ku gościńcowi i tam poważnie naradzać się zaczęli.

Pisarz Płonka przemówił coś do Zydronia, czego nikt nie słyszał, a potem, podniósłszy wysoko rękę, otwartą dłonią potrząsał przez chwilę, zażegnując wrzawę.

— kochani ludzie! — wołał nieco krzykliwie, bo głos miał z natury wątły, niewielki. — Pozwólcie mi przemówić!

Odczekał, aż tam nacichło zupełnie. Mnóstwo niechętnych, ciężkich spojrzeń legło na zatroskanem obliczu pisarza.

— co się tyczy waszego tu przyjścia, to już pan geometra objaśnił, że ono do niczego nie doprowadzi! Ja tylko, ubolewam nad niepotrzebnem, z niezrozumienia rzeczy płynącem zaburzeniem wszczętych dziś na tym gruncie czynności urzędowych, pragnąłbym wam, ludzie kochani, wytłumaczyć, iż rada gminna, uchwalając sprzedaż tego obszaru,

pastwiskiem wspólnem dotąd będącego, miała na widoku intencję ulepszenia gospodarki, rozumniejszego wykorzystania tego sporego kęsa ziemi, który — każdy to przecie zrozumieć powinien! — znajdował się ostatniemi laty w stanie zupełnego zaniedbania! W pospólnem użytkowaniu obszar ten zmienił się w pustać, leżącą odłogiem, na której nawet bydło ledwie co miało do żarcia! W rękach troskliwych gospodarzy te grunta, dziś marnotrawione, obrócą się w zagony urodzajne, w niwy orne, w łąki, dobrze urządzone — przez co pomnoży się bogactwo kraju, postąpi naprzód wzmocnienie naszego stanu rolniczego! Dlatego proszę, ludzie kochani, nie przeszkadzajcie nam w pełnieniu dzieła, którego — jak mi się zdaje — jedynie przez nieświadomość, a nie przez złą wolę, uznać nie chcecie, ni ocenić należycie!

Umilkł pisarz Płonka i z poczciwem przekonaniem o światłym sensie własnej wymowności spoglądał po twarzach tłumu — stężałych, zaciętych ponuro.

— bardzoście to, pisarzu, wywiedli składnie, ani słowa!— ozwał się Zydroń z przekąsem. — Ino zapomnieliście objaśnić, co ludzie teraz z bydłem poczną, bez pastwiska?

— hm... hm! — Płonka bezradnie wzruszył ramionami.

— a po drugie: jakże tu, żeby ci, co dużo mają, jeszcze to podsię garnęli, co zdawna pospólnem dobrem było, gromadzką powszechną rzeczą?

— prawda! zdawiendawna było! — ozwało się kilka głosów w ciżbie.

— jeszcze, jakby do tego podziału koniecznie przyjść miało, niechby choć wszyscy dopuszczeni byli, a zwłaszcza ci, najbiedniejsi, co gruntu wcale nie mają, albo mało — tobyśmy jeszcze po ludzku wyrozumieć mogli!

— ajno! prawda!

— żeby choć każdemu trochę!

— wyście tu, Płonka, — mówił znów Zydroń — składnie wywiedli swoją rację, ano, my znowu swoją mamy! Chudobniejsza ludność, co jej najwięcej w gminie, dopuścić tego nie może, aby jej ten kęs ziemi i do użytkowania onego, wspólne prawo, wydarte być miały!

— pazurami to trzymać będziemy! — wrzasnął ktoś chrapliwie w tłumie. Wszczął się tam znowu głuchy, niespokojny pomruk.

— moiściewy! — zawołał Płonka, natchniony szczęśliwą myślą. — Rada pastwisko sprzedać prawomocnie uchwaliła, a przecie — samiście ją, tę radę, wybrali!

W istocie, argument był oczywisty. Ludzie spojrzeli po sobie w milczeniu kłopotliwem.

— to i prawda! — przerwał już niemłody, wielce dziobaty na twarzy chłop, obok Zydronia stojący. — To i prawda, bo ludziska wtedy były, z przeproszeniem, głupsze! Przeważnie miarkowali: kto bogaty, ten i mądry, do rady się dobrze nada! Ano teraz się okazało, jak ta rada radzi! Niedługo już, pisarzu — za rok nową wybierać będziemy!

— a tymczasem, — wrzasnął ten sam, co pierwej, ochrypły głos w ciżbie — to się też krzywdzić nie damy i nie dopuścimy! Choćby, psiekrwie, pazurami...

— ale! rządy ich zatracone!

— nie dopuścimy! nie damy!

— gnać to-to, ludzie! przegnać!!

— babom swoim niech tyłki mierzają!

W zamęcie, w srogiej wrzawie, jaka się teraz rozżarła, mało kto spostrzec zdołał, jak się to stało: kobiecina jakaś skoczyła zboku, porwała tykę mierniczą, leżącą na ziemi, i z rozmachem rzuciła się ku bryczce, stojącej na gościńcu. Kilka bab odrazu poszło za jej przykładem. W powietrzu śmigać zaczęły tyki i pęki palików.

Pomocnicy geometry porwali w ręce skrzynki z narzędziami.

— ludzie! czyście poszaleli? — krzyknął Płonka i prędko pobiegł ku swoim. — Wójcie! Patrzcie-no, co ci wyrabiają!

Biedrawa stał, jak skamieniały. To, co widział, odjęło mu zrazu przytomność i wszelką wolę. Lecz gdy po chwili, z oczyma krwią nabiegłemi, wściekłym ruchem podniósł lagę i, klnąc ohydnie, już-już miał rzucić się naoślep, skoczyć w zgiełk rozżartej ludzkiej wrzawy — geometra powstrzymał go niespokojnem szarpnięciem za ramię.

— bójcie się Boga, wójcie, — zawołał pełen grozy, — Nie róbcie głupstw!

— ja im... ja im... — miotał się Biedrawa, lecz już i Płonka uśmierzać go zaczął, wskazując na niebezpieczeństwo gwałtowniejszych czynów wobec tak oczywistej nierówności

sił. Zerkał przytem przezornie w stronę tłumu, który, dokładnie oczyściwszy plac z mierniczego sprzętu, stał znowu w ponurem milczeniu, w zwartej, wyczekującej postawie.

— jedźcie ze mną, wójcie, natychmiast do miasta... — mówił półgłosem geometra do Biedrawy. — Złożymy relację w starostwie i poprosimy o asystencję żandarmerji! Odwlecze się to kilka dni, lecz innej rady nie widzę...

Skinął na wystraszonych pomocników, a ci z pośpiechem jęli wyrzucać swój kram z przykopy gościńca na bryczkę.

Biedrawa, zataczając się w bezsilnej pasji, dał się Płonce wieść ku pojazdowi. Obaj z geometrą wdrapali się na siedzenie. Pomocnicy zajęli miejsca na koźle, a jeden z nich, ująwszy lejce, podciął konie. Ruszyły zwolna.

Płonka postał chwilę na gościńcu, patrząc za odjeżdżającymi. Potem spojrzał ku pastwisku, pokiwał głową z ubolewaniem, odwrócił się i ciężkim krokiem, zgarbiony, poszedł do wsi.

Tłum na wygonie stał w głuchej, posępnej ciszy.

Tego wieczora Płonka zapisał w swym notatniku taką sentencję okolicznościową:

„Ciemnota jest największą klęską wiosek naszych. Dzięki niej podżegacze różni i mędrkowie łatwe mają zadanie, gdy chodzi o poruchy wszelkie, usiłowaniom, ku postępowi rolniczemu zmierzającym, przeszkadzać mające. Oświaty, jeszcze raz oświaty — oto, czego w dzisiejszym czasie najbardziej nam potrzeba!“

ANTONI KASPROWICZ

FAKTOMONTAŻ

Czas w trybach miażdżył fakty, nim bagnetu ostrze
karminem krwi okrzepło — jęk, spłoszony dzięcioł
ostukał czarnopienny, szumny las na obstrzał,
aż księży chór na księżyc zielony go wpędził.
Dzień - skrzypek skrzypem fur na twardych strunach dróg
grał
pieśń, w piersiach trzepocącą złym, chrypliwym płakiem —
łzy koniom z ócz wyciskał, kurz z pod bosych nóg rwał,
wciąż gęściej po przydróżkach kropiąc płynnym makiem.
Mózg torfem płonął w izbach przy skurczonych sercach —
wieczorem strach pod okna skradł się mrocznym sadem
i ucho przyłożywszy do szyb mokrych, sterczał,
by nocą siąść na chorych piersiach końskim zadem.
— Chyba nam juchą rzygnąć! Bici drzewcem kolb w kark
nie pójdziem ból powierzać swój przydrożnym krzyżom
i patrzeć, kiedy śpichrzem pełnym dysze folwark,
jak baby w kurnych chatach z dziećmi palce gryzą.
Stal kości mróz w wigilję ciągle ma nam źreć rdzą —
dość przecie głód nam krową siano życia z rąk rwie —
dość gryzą wszy — dość placki krowie w izbach śmierdzą —
— zaśpiewa chłop pijany, ...

WIERA INBER

Ulica Powstania

(z rosyjskiego przełożyła Halina Pilichowska).

Liść brzozowy, nim spadnie na ziemię, długo krąży w powietrzu, Odpadłszy od gałązki, niewesoło leci i wydaje się, że nigdy nie dotknie ziemi. Ale najwspanialej traci liście klon. Przed śmiercią stroi się, jak sztandar, w złoto i purpurę, a inne drzewa zazdroszczą mu... W jesienny dzień można umrzeć, skonać można z żądzy życia. W owym czasie można kompletnie upić się pierwszym łykiem jesieni. Zwłaszcza, jeśli się myśli o przeszłości. Przeszłość? — przeszłość pełna jest błędów. Pełna błędów gramatycznych, ponieważ człowiek, odurzony pierwszym łykiem jesieni i siedzący akurat na odległym bulwarze Moskwy, człowiek ten w swoim czasie zajmował się pedagogiką. Błędy jego niezliczonych uczenic były duże i liczne, jak liście klonowe na jesiennej ziemi. A drobnych brzozowych omyłek było jeszcze więcej: niepodobna ich zliczyć.

— Ale też głowy! — zwykł był mawiać Sergjusz Lwowicz Egzemplarskij, młody, niezgrabny i płowy, jak rozwichrzony snop. — Ale też głowy! — zwykł był mawiać, siedząc wieczorem przy lampie i wyławiając błędy w zeszytach. — Uczą, uczą się tych wyjątków i, o, proszę — „cwioł" przez „je", i „zwiozdy" znów przez „je".

I mocno podkreśla niebieskim ołówkiem nieszczęsne słowo. Jest dla niego najzupełniej jasne, że żadne kwiaty na świecie nie mogą kwitnąć przez „je". I żadne gwiazdy nie mogą świecić przez „je".

W dziewięćset piątym roku powaga litery „jat'" była zlekka zachwiana. Sergjusz Lwowicz, jako „kochany i subtelny wychowawca", występował na zebraniach szkolnych, odrzucał wtył słomianą strzechę włosów, mówił o „przełożonych", jako o „ubogich duchem". Zdarzyło się, że przemawiał na uniwersytecie na dużym wiecu.

Półokrągłe audytorjum hałasowało i falowało. Ciemna zieleń dziewczęcych okryć, wyglądająca, jak krzewy choiny, tłoczyła się przy katedrze. Takie same krzewy, tylko barwy czerwonego wina, wyrastały po bokach katedry: były to mundurki rozmaitych gimnazjów. Na przednich ławkach siedzieli uczniowie gimnazjalni ze srebrnemi guzikami, żółte guziki realistów stłoczyły się styłu, okna zaś opanowały czapki elektro-techników. Czasem wszystko to było poplątane.

Sergjusz Lwowicz w cywilnem ubraniu, w rozpiętej marynarce, doczekawszy się swej kolejki, wszedł na katedrę. Znów powiedział o „ubogich duchem" i zakończył tak:

— Wolność — to piękny ptak. Wypuściliśmy ją z klatki, lecz musimy jej strzec. Musimy być ostrożni w słowach i rozważni w czynach.

Przy tem zdaniu, jakgdyby wiatr wionął po zielonem i czerwonem poszyciu, szmer się potoczył po gęstwinie. I najdalsze guziki i czapki zawtórowały mu niewyraźnym zgiełkiem. Po Sergjuszu Lwowiczu wyrosła na katedrze dziewczyna, jak choinka na pagórku.

Sergjusz Lwowicz dobrze ją znał: była to jego uczenica i siedziała w szóstej klasie naprawo pod oknem. W klasowych jej wypracowaniach zdumiewała niekobieca jakaś, właściwa chłopcom trafność. Trafiała w zasadniczą myśl, jak chłopak w wróbla. A warkocze splatała nad uszami rzewnie, dziewczęco.

Stanąwszy na katedrze, podniosła maleńką rękę z plamą od atramentu na dłoni. Zrobiło się bardzo cicho.

— Cóż to ma być, towarzysze, — zaczęła tym samym głosem, jakim kreśliła na lekcjach charakterystykę Tatjany.— Poprzedni mówca (spojrzała przytem na Sergjusza Lwowicza, który w duchu zmieszał się, widząc ją na katedrze, a siebie na ławce), — poprzedni mówca mówił nam o ostrożności. Wiemy, co to oznacza...

Mówiła jeszcze dosyć długo, lecz poprzedni mówca już jej nie słuchał, tylko patrzył. Patrzył i nie rozumiał, dlaczego, gdy patrzał na nią, tak niezwykle biło mu serce. Dlaczego wszystko, nawet plama od atramentu na dłoni, wywoływało w nim dreszcz. Patrzył na nią, nie rozumiejąc, że jest to

miłość. Tak samo nie poznał miłości, jak nie poznał potem rewolucji.

Dziewięćset piąty rok skończył się. „Ubodzy duchem“ znów byli górą. I nadeszła godzina, gdy Sergjusz Lwowicz, wezwany przez najgłówniejszego spośród „ubogich duchem“ do udzielenia wyjaśnień, odczuł lęk i słabość. Empirowe krzesła w poczekalni dwoiły mu się w oczach. Wicher zdarzeń zarzął huczeć nad nim, i Sergjusz Lwowicz, aby nie upaść, uczepił się jakiegoś empire‘u. W chwili najbardziej dokuczliwego przerażenia białe ze złotem drzwi rozwarły się, i biała z złotym pierścieniem ręka zaprosiła go do pokoju.

Sergjusz Lwowicz, idąc do domu, znów był spokojny: wszystko było na swojem miejscu, i sam też był na swojem miejscu; wszystko załatwiono pomyślnie. A jednak coś... niecoś... Tak, co to było?

Sergjusz Lwowicz nagle przypomniał sobie.

— Panie Egzemplarskij, — powiedział mu „ubogi duchem“ i wyjął z kieszeni zegarek. — Niech pan nie sądzi, że obce mi są błędy młodości. Wszystkiego doświadczyłem, wszystko przebaczam. Ale, — w tem miejscu nakręcił zegarek i sprawdził, czy idzie, — pragnąłbym wiedzieć bardziej szczegółowo, kto mianowicie...

Dalej wszystko było mgliste. Sergjusz Lwowicz z trudem przypomniał sobie, że jednak odpowiedział. Któż jednak w empirowym gabinecie wymienił nazwisko płowowłosej panienki z plamą od atramentu na dłoni? I Sergjusz Lwowicz, nie przypomniawszy sobie tego, żył dalej, nie rozumiejąc teraz swej zdrady, tak, jak przedtem nie rozumiał miłości i jak później nie rozumiał rewolucji.

Lata płynęły zdumiewająco szybko, zdumiewająco jednostajnie. Póki płynęły lata, Sergjusz Lwowicz tak, jak dawniej, objaśniał końcówki „ego“ i „ago“, jak dawniej zagłębiał się w zdanie podrzędne: główne przechodziło obok niego. Nazwisko płowowłosej panienki zniknęło z kartek dzienników klasowych, jakgdyby zniósł je wicher zdarzeń.

Człowiek, pijany już po pierwszym łyku jesieni, siedzi na ławce, na bulwarze. Nieopodal, łącząc się otwartym wylotem z bulwarem, znajduje się ślepa uliczka, przy której mieszka ów człowiek. Człowiek — wciąż ten sam, wciąż dawny Egzemplarskij. Lecz poprzednia młodzieńcza kań-

ciastość przekształciła się w starczą kościstość, a zamiast miękkiej pszenicznej bródki widać siwe kłujące ściernisko. Nad Sergjuszem Lwowiczem opadają majestatycznie liście klonu, jesienny błękit płynie nad klonem, a nad błękitem, nad wszystkiem góruje poczucie życia, które niewiadomo jak minęło.

— Moje życie — to prawdziwa biografja, — mówi przechodząca obok obywatelka do swego kawalera...

„A jakaż jest moja biografja?" — myśli Sergjusz Lwowicz, szuka i nie znajduje jej.

— Nafta jest dobra tylko wówczas, — mówi młodzieniec do dziewczyny, — gdy jest w niej nie więcej, niż dwa do trzech procent obcych domieszek. Obcych... tak, to zawsze przeszkadza...

— Ach, tak, — odpowiada panienka.

„Za moich czasów, — myśli Sergjusz Lwowicz, — inaczej mówiono o miłości. A zresztą, jakie, właściwie, czasy można nazwać mojemi?"

Nadchodzi wieczór. Jesienny błękit ciemnieje, wypełnia się gwiazdami. Klonowe liście opadają z cichym przepychem. Sergjusz Lwowicz postanawia iść do domu. W domu, w zaułku, w pokoju zapach nędznej starości. Ale jest tam zato spokój, niema tam burzliwego wichru wypadków. I ma jeszcze Sergjusz Lwowicz swe radości: wypożycza z sąsiedniej bibljoteki dobre, stare książki, jakich już teraz nie piszą. Książki, w których opisują jedynie możliwe życie ludzkie przez „jat'".

Sergjusz Lwowicz powoli wstaje i idzie, starając się jaknajlżej stąpać lewą, chorą nogą. Stare, sklerotyczne serce z trudem łyka powietrze.

— Przepraszam, — odzywa się kobiecy głos, — czy nie byłby mi pan łaskaw powiedzieć, gdzie tu jest ulica Powstania? Wiem, że jest tu gdzieś wpobliżu, a nie mogę znaleźć.

Sergjusz Lwowicz jest zadowolony z zatrzymania go: niema się gdzie śpieszyć. Kobieta jest zgrabna, ma płaszcz uszyty po męsku, miękki kapelusz rzuca cień na miłe oczy.

— Chętniebym pani dopomógł, — mówi, sapiąc, Sergjusz Lwowicz. — lecz ulicy Powstania nie znam. Ten oto bulwar

to Nowikowska, a tu jest zaułek „Łożkin". Oddawna już tu mieszkam. Takiej ulicy, jak pani mówi, tu niema.

— To przykre, — mówi kobieta. — Ktoby mi powiedział... Może pan wie, gdzie tu jest ulica Powstania? — zwraca się do przechodzącego młodzieńca: jest to ten sam, który mówił o nafcie.

— Ulica Powstania? Toż stoi pani na niej.

Sergjusz Lwowicz potrząsa głową:

— Zapewniam, że myli się pan. Oddawna tu mieszkam. To zaułek „Łożkin".

— Był zaułek, a teraz jest ulica. A zresztą to wcale nie zaułek. Czy pan dochodził aż do końca, tam, gdzie skręca za rogiem?

— Nie, — odpowiada Sergjusz Lwowicz, — nie zdarzało mi się jakoś.

—A właśnie, nie zdarzało się... a tam ścianę rozwalili i stary dom zburzyli. Niech pan przeczyta na tabliczce. Widzi pan: „U-li-ca Po-wsta-nia".

— Nie zauważyłem jakoś, — mówi cicho Sergjusz Lwowicz, tak, że sam tylko słyszy siebie. — Nie zauważyłem.

W bibljotece kolejka. Dla dobrej książki nie szkoda czasu, można postać na boczku. A zresztą nie ma się gdzie śpieszyć: i tak życie minęło. Nie szkoda czasu dla dobrej książki o minionem, jedynie możliwem, jedynie prawdziwem życiu.

— Towarzyszu, — mówi, podchodząc do przegródki młody chłopiec: bary szerokie, na prawej ręce brak jednego palca. — Daj mi, towarzyszu... macie tu u was taką książkę, Jakże ją... nie przypomni sobie człek odrazu, długachna taka nazwa. A nasi powiadają, że dobra, dobra, powiadają nasi. Już, przypomniałem sobie: „Dziesięć dni, które wstrząsnęły światem". Tę mi właśnie, uważasz, daj.

— Dziesięć dni, — mówi sam do siebie Sergjusz Lwowicz, i sam tylko słyszy siebie, —wstrząsnęły światem... a ja nawet nie zauważyłem.

ZOFJA JAKUBOWSKA

G a z e t a

Rekord — skoki wzwyż i wdal,
notatki z giełdy,
jak leczyć trąd
pięć seksualnych zbrodni —
Ciśnijcie
w kąt!
Co nas obchodzi stratosfera?
My jesteśmy poprostu — głodni!
My — chcemy chleba!
Konferencja rozbrojeniowa?
Miss Europa na ten rok?
Brylanty Wielkiego Księcia?
— Tajemnice pałaców,
brylanty księcia, skok nart
i sprawcę eleganckiej zbrodni
niech trafi szlag!
My jesteśmy poprostu głodni!
My chcemy pracy!

Ogniowi na śmiech ciśniemy
szmat papierowych szum,
stos umów, not i rezolucyj!
Stumiljonowy tłum
przez całą szerokość ziemi
ogłasza rekord świata:
zwycięski skok REWOLUCJI!

P. STANISŁAWSKI

Kilka uwag o rewizjonizmie historycznym

(Na marginesie powieści Kruczkowskiego „Kordjan i Cham")

W polemice, jaka się toczyła na temat „Kordjana i Chama" w „Wiadomościach Literackich" (Radek, Kruczkowski, Stawar) oraz w „Lewarze", nie zabierał głosu nikt z historyków. O szeregu zagadnień z dziejów Królestwa Kongresowego, wiążących się ściśle z powieścią, pisali literaci i publicyści, czyniąc nieraz bardzo interesujące i inteligentne uwagi, ale też częstokroć wykazując zupełne niezrozumienie epoki. Wartoby więc, aby w sprawie najlepszej naszej powieści historycznej wypowiedzieli się historycy, pracujący nad dziejami Królestwa Kongresowego, tem więcej, że powieść ta wiąże się ściśle z zagadnieniami rewizjonizmu historycznego.

Rewizjonizm jest w historjografji procesem niemal stałym. Obok pewnych, nielicznych zresztą, dążeń, przekazywanych z pokolenia na pokolenie, każda prawie generacja wysuwa pod adresem historji odmienne wymagania, chcąc znaleźć w przeszłości dane, uzasadniające lub wyjaśniające te, czy inne zjawiska teraźniejszości. Rzecz prosta, że rewizjonizm danego pokolenia nie nosi charakteru jednolitego i może znacznie różnić się co do swego kierunku i zakresu, zależnie od tego, jakiej klasy społecznej interesy reprezentuje. Wiemy bowiem dobrze, że historja pomimo ustawicznie podkreślanego przez historyków burżuazyjnych objektywizmu, jest jedną z najbardziej politycznych nauk. Historycy wraz z ekonomistami, geografami i innymi dostarczają zawsze i wszędzie politykom argumentów tworzących naukową podbudowę t. zw. racji stanu. To też, zależnie od zaspakajania aktualnych interesów lub aspiracyj, powstaje potrzeba mniej lub więcej odmiennego naświetlenia pewnych postaci, lub zjawisk dziejowych. Jeśli proces taki zachodzi w każdem prawie pokoleniu, to — rzecz prosta — tem silniej musi występować w okresie przełomowym, jakim było dla Polski odzyskanie niepodległości.

W okresie porozbiorowym historjografja polska, ściśle

związana z losami, jakie przypadły w udziale narodowi, różne przechodziła koleje. Z grubsza biorąc, przed wojną światową istniały w historjografji naszej dwa kierunki: jeden, związany silniej lub słabiej, nieraz zupełnie luźno, z warstwami, dążącemi do niepodległości, (część drobnej burżuazji i robotników) skupiał znaczną większość historyków, która starała się uczynić z historji czynnik „krzepiący serca" i wykazać, że Polska upadła tylko dzięki przemocy obcej, a więc przez walkę z tą przemocą może odzyskać byt niepodległy. Wyłaniała się stąd potrzeba mniej lub bardziej świadomego idealizowania przeszłości. Drugi kierunek, t. zw. szkoła krakowska, reprezentował żywioły ugodowe w stosunku do zaborców (wielka burżuazja i ziemiaństwo) i doszukiwał się przyczyn utraty niepodległości przedewszystkiem w warunkach wewnętrznych oraz, nie wierząc w pomyślny wynik walk wyzwoleńczych, nader pesymistycznie oceniał ich dzieje.

Odzyskanie niepodległości wytworzyło potrzebę rewizji dotychczasowego stosunku do przeszłości. Mogłoby się się pozornie wydawać, że rewizja ta będzie bardzo gruntowna i daleko idąca, ale tak się jednak nie stało, gdyż radykalne przewartościowanie przeszłości nie leżało bynajmniej w interesie klasy społecznej, która objęła rządy w odrodzonem państwie. Bądź co bądź zmiana zasadniczego zadania historji z wychowania w tradycjach walki o niepodległość na t. zw. wychowanie państwowe musiała siłą rzeczy wywołać pewną rewizję dotychczasowych poglądów. Rewizję tę jeden z pierwszych podjął prof. Skałkowski. Jego broszura o Kościuszce (Poznań, 1924) wywołała wiele hałasu i była przedmiotem nader ożywionej dyskusji na czwartym powszechnym Zjeździe Historyków Polskich w Poznaniu w 1925 roku. W szkicach p. t.: Z dziejów insurekcji 1794 r." (Warszawa, 1926) prof. Skałkowski poddaje krytycznej ocenie szereg legend, wytworzonych na tle insurekcji kościuszkowskiej (rola oddziałów chłopskich, udział żydów w walkach i in.). Podobnie prof. Tokarz w monografji „Sprzysiężenie Wysockiego i noc listopadowa" (Warszawa, 1925) poddaje rewizji rolę Wysockiego w spisku podchorążych, oraz motywy tego spisku, a w monografji p. t. „Insurekcja Warszawska" (Lwów, 1934) zwraca uwagę na rolę czynnika ekonomicznego w wybuchu walk

warszawskich 17 i 18 kwietnia 1794 r. Zarówno rewizjonizm prof. Skałkowskiego jak i prof. Tokarza nosi charakter bądź personalny, to jest zmierzający do przewartościowania roli jakiejś wybitnej osobistości, bądź jakiegoś wydarzenia historycznego, potraktowanego jednak w oderwaniu od całokształtu zjawisk dziejowych, których stanowi ogniwo. Wyłącznie personalny charakter ma rewizjonizm dr. Górki w stosunku do Jeremiego Wiśniowieckiego (artykuły w „Pionie", wydane następnie w postaci książki p. t. „Ogniem i Mieczem a rzeczywistość historyczna"). Nie chcąc mnożyć przykładów, poprzestanę na przytoczonych powyżej.

Widzimy więc, że rewizjonizm, reprezentowany przez profesorów Skałkowskiego i Tokarza, możnaby nazwać mieszczańskim realizmem historycznym, będącym częściowo reakcją na historjografję romantyczną. Jestem daleki od negowania pewnej pozytywnej roli tego rewizjonizmu, przeciwstawiającego się zakłamaniu świadomemu lub nieświadomemu naszej historjografji. Nawet tak przesadny, przybierający karykaturalne wprost formy, rewizjonizm dr. Górki nie jest całkowicie pozbawiony znaczenia, właśnie jako przejaw protestu przeciwko uświęconemu tradycjonalizmowi. Inna sprawa, że dr. Górka w referacie, wygłoszonym w Tow. Miłośników Historji, kiedy poruszył sprawę genezy powstania Chmielnickiego, przedstawił ją wprost humorystycznie, sprowadzając przyczyny powstania nieomal do zatargu Chmielnickiego z Czaplickim. Należy jednak stwierdzić, że rewizjonizm profesorów Skałkowskiego i Tokarza, nie mówiąc już o dr. Górce, jest daleki od próby przedstawienia mechanizmu polskiego procesu dziejowego, to jest jego analizy gospodarczo-społecznej metodą materjalizmu dziejowego. Prof. Tokarz we wspomnianych powyżej pracach swoich wprowadza czynnik gospodarczy jako wyjaśnienie szeregu wydarzeń, ale czynnik ten traktuje w oderwaniu od dynamiki społecznej. Jest to t. zw. ekonomizm, będący wprawdzie postępem w stosunku do woluntarystycznego wyłącznie pojmowania dziejów, ale tem nie mniej daleki od analizy całokształtu czynników w ich wzajemnem powiązaniu, jakie daje metoda marksowska.

Otóż prac takich historjografja polska nie posiada. Mam na myśli prace naukowe, pisane przez historyków, a nie ar-

tykuły lub broszury publicystyczne, których autorzy posługują się przeważnie nie metodą, lecz pewną (dość ograniczoną) ilością schematów marksowskich, oraz odznaczają się ignorancją historyczną. To też na tle istniejącego stanu rzeczy powieść Leona Kruczkowskiego „Kordjan i Cham“ jest nader ciekawem zjawiskiem. Powieść historyczna, która zwykle daje artystyczną transpozycję materjału, zaczerpniętego z historjografji, w danym wypadku historjografję tę wyprzedziła. Książka Kruczkowskiego jest powieścią o losach chłopów w epoce Królestwa Kongresowego i w tych ramach należy ją rozpatrywać. Podkreślam to, gdyż w ocenach krytycznych (a w pierwszym rzędzie w ocenie Karola Radka) Kruczkowskiemu stawiano zarzuty, dlaczego nie oświetlił roli inteligencji, mieszczaństwa, nie zajął się bliżej podłożem spisku podchorążych i t. p. Niektóre z tych zarzutów są — zdaniem mojem — o tyle słuszne, że autor, przedstawiając zawiązanie się organizacji spiskowej w Szkole Podchorążych i jej późniejszą działalność, winien był zwrócić większą uwagę na powiązanie tej działalności z warstwą społeczną, stanowiącą dla niej główne oparcie, której aspiracje polityczne znalazły swój wyraz w spisku podchorążych. Warstwą tą była radykalna inteligencja miejska, wytworzona w znacznym stopniu ze zdeklasowanej przez ówczesny kryzys agrarny (1818—1825 r.) drobnej szlachty. Szlachta ta, stając się inteligencją miejską, (wolne zawody, urzędnicy, oficerowie) przyjmowała liberalne hasła mieszczaństwa, nadając im pewien odcień radykalny i narodowy. Jako inteligencja, krępowana w swoim rozwoju, położeniem politycznem Królestwa, widziała pomyślne widoki we własnem wolnem państwie, przez to musiała wysunąć sprawę niepodległości, a przynajmniej przyłączenie do Królestwa t. zw. ziem zabranych.

Właściwe zagadnienie swej powieści, położenie chłopów, autor przedstawił — zdaniem mojem — wyczerpująco i w sposób dotychczas nie spotykany, a będący wynikiem zastosowania przezeń metody analizy społecznej. Pewne zastrzeżenia tylko budzi romantyczne zakończenie, nie harmonizujące ze ściśle przestrzeganym przez autora realizmem.

CZESŁAWA WOJEŃSKA

Złudzenia „postępu”

Brak własnej postawy wobec życia całej naszej inteligencji, fakt, że wbrew wszelkim racjom i wbrew istotnym swym interesom jest ona przynależna i związana raczej z warstwami posiadającemi niż z światem pracy, staje się powodem, że inteligencja, nawet w osobach swych clerców, nietylko nie spełnia właściwego zadania budzenia w życiu zbiorowem świadomości przeżywanych procesów, ale przeciwnie, powiększa w głowach chaos, wikłając i gmatwając w swoich wypowiedziach publicystycznych i literackich i tak trudny i niejasny obraz współczesnych stosunków. Ujemna i destrukcyjna rola naszej inteligencji występuje zwłaszcza wyraźnie tam, gdzie bierze na siebie rolę promotora ruchu robotniczego, promotora postępu, lansuje zaś z zapałem stary, dekadencki, rozkładowy pogląd na świat mieszczaństwa.

Postępowość naszej inteligencji wyczerpuje się najczęściej w pewnych formach niedowiarstwa religijnego, czy wolnomyślicielstwa, nie związanego jednak z żadnym światopoglądem społecznym. Czasem wystarcza brak antysemityzmu, czy filosemityzm dla pełnego poczucia swojej czy cudzej postępowości.

Jeszcze innym złudzeniem postępu jest ruch. Ruch jako cel sam w sobie bez względu na kierunek. Ruch, tempo, wydaje się synonimem postępu, signum temporis współczesności niezależnie zupełnie od celu. Zadyszany z pośpiechu, zgubiony w natłoku wrażeń, zaskoczony mnogością i różnorodnością spraw, zmiennością poglądów własnych i otoczenia — żyje inteligent dzisiejszy jakby życie jego wartościowane było i płatne „na akord“. Byle największą możliwie ilość spraw załatwić! Byle zdążyć pokosztować wszystkiego! W żadną ze spraw tego świata nie włożyć całego siebie, żadnej nie oddać się całą duszą, niczem nie przejąć się całem sercem i w nic nie wierzyć istotnie — oto postawa wobec życia, w którem wszystko się dzieje w pośpiechu i jakby mimo ten pośpiech w wiecznem opóźnieniu. W pogoni za biegiem przyspieszonym i nierównym, w takt arytmji wypadków, goni uciekające życie, zbyt słaby, aby je pochwycić i niem świadomie kierować.

Złudzenia postępu, jakim ulega nasza inteligencja doprowadzają do najbardziej paradoksalnych nieporozumień w dziedzinie poglądów na życie obyczajowe. Rewolucjonizm dużej części naszej inteligencji redukuje się do radykalizmu w dziedzinie życia obyczajowego, jakby nie było ono jedynie wykwitem i produktem ustroju i warunków ekonomicznych, jakby możliwa była zmiana i postęp w tej dziedzinie bez radykalnych zmian społecznych i politycznych. Liberalizm mieszczaństwa, dekadencję przeżywającej się burżuazji, całą filozofję tego „kończącego się świata“ traktuje się u nas jako wyraz postępu, nowe formy życia. To, co płynie z nudy bogatego próżniactwa, z przesytu i przeżycia, z braku wewnętrznych hamulców, głębszych zainteresowań i ideałów, brane jest jako wyraz nowej postawy wobec życia, gdy w rzeczywistości jest to właściwie tylko brak jakiegokolwiek pionu wewnętrznego.

Mieszczański liberalizm w życiu obyczajowem, związany najściślej z liberalizmem ekonomicznym doprowadził w swej karykaturze do ośmieszonego już dziś na szczęście pojęcia „życia ułatwionego“, jakby łatwość czy doraźna tegoż życia przyjemność była jego jakąkolwiek kwalifikacją.

Że to nie ma nic wspólnego z ideologją świata pracy, że nawet jest temu światu obce i wrogie, o tem świadczy wymownie i niewątpliwie przekonywująco ewolucja poglądów na życie obyczajowe w Z. S. R. R.

Pierwsze lata po rewolucji wprowadziły rozprzężenie i nieład i w tę, jak we wszystkie inne dziedziny życia. Pani Kołłontaj ze swoją słynną teorją „szklanki wody“ była tego rozprzężenia wewnętrznego najwyraźniejszą przedstawicielką. Jeszcze świat nowy, dopiero powstający do życia, nie zdobył własnej postawy, jeszcze korzystał z pozostałości myślowych zburzonego przez siebie życia, jeszcze trwał we władzy przeszłości. Dopóki trwała rewolucja, dopóki chodziło o rozwalenie ram i form starego życia, czynnik ten nie był dość energicznie zwalczany przez nowopowstający świat. Ale gdy przystąpiono do pracy pozytywnej, twórczej, gdy zaczęto budować od podstaw świat nowy, zmienia się zasadniczo stosunek do tych zagadnień.

Surowa prostota obyczajów dzisiejszej młodzieży w Z. S. R. R. uderza wszystkich turystów, oglądających państwo so-

wieckie. Hasło trwałej proletarjackiej rodziny (kriepkaja proletarjackaja siemja) wydostało się daleko poza Sowiety. Już się nawet słyszy głosy obawy, że zbyt surowo, że przesadnie wychowują Sowiety swą młodzież. Mówi się także z przekąsem o tem (nasi inteligenci zwiedzający Z. S. R. R.), że „źle widziane“ są tam rozwody, prawnie oczywiście dozwolone i bardzo łatwe.

O czystości obyczajowej dzisiejszych Sowietów, o zmianie, jaka w tym kierunku zaszła w ostatnich latach, po nadużywanej i źle rozumianej swobodzie lat pierwszych rewolucji, świadczy bardziej wyraźnie i bardziej objektywnie niż świadectwo turystów, literatura Z. S. R. R. Kto zada sobie trud, i porówna powieści czy sztuki teatralne pierwszego okresu z utworami lat ostatnich, ten nie będzie mógł mieć wątpliwości w jakim kierunku idzie rozwój pojęć w tej dziedzinie w Sowietach. Wystarczy już nawet porównać sztuki grane w teatrach warszawskich, więc choćby „Kwadraturę koła“ Katajewa, z tegoż autora późniejszą „Kwiecistą drogą“ czy Szkwarkina — „Cudzem dzieckiem“.

Albo takie powieści jak Wiery Kołłontaj — „Miłość trzech pokoleń“, czy Małaszkina — „Księżyc z prawej strony“ albo Romanowa „Bez czeremchy“ z późniejszemi, jak Bogdanowa — „Pierwsza dziewczyna“, w której autor daje pełen ostrego krytycyzmu obraz rozprzężenia moralnego młodzieży w pierwszych latach po rewolucji, lub podobną w założeniach krytycznych powieść Gumilewskiego — „Psi zaułek“, z powieściami ostatnich lat, Lidina, Leonowa, Szołochowa

Może najbardziej charakterystyczną powieścią dla tego okresu będzie Katajewa — „Naprzód, czasie!“, gdyż daje obraz prawdziwych zainteresowań i pasyj dzisiejszej młodzieży sowieckiej, jakże dalekiej i obcej mieszczańskiej filozofji „ułatwionego życia“.

Pasja tworzenia nowego świata, innego życia, inny stosunek do pracy niż w świecie kapitalistycznym stwarza podłoże moralne dla nowych stosunków między ludźmi, w których niema miejsca na dekadencki, rozkładowy mieszczański ideał użycia. W tym też kierunku idzie niewątpliwie życie, przechodząc ponad głowami naszych pseudo - postępowców i radykałów, których postęp wyczerpuje się jedynie w rewolucyjnym stosunku do życia obyczajowego.

REGINA LKARNIOOWA

Nowa książka Stefana Zweiga

— Triumf i tragizm Erazma Rotterdamskiego — tak się nazywa najnowsza książka Stefana Zweiga. W gruncie rzeczy jednak mniej jest tu mowy o triumfie niż o tragizmie, tragizm bowiem stanowi istotną osnowę tej książki — tragizm marzenia o postępie moralnym ludzkości, wydanego na pastwę pełnych okrucieństwa wydarzeń. W swojej — „Laus stultitiae", przepysznej satyrze, która pod maską alegorycznej „głupoty" wyszydza obłudę duchowieństwa, chciwość możnych, ignorancję uczonych, krętactwo prawników, zdradza się Erazm, ze skrytym gdzieś między wierszami, bardzo dziwnym żalem: on jeden tylko nie potrafi iść na pasku złudzenia.. Wiara w wartość dóbr ziemskich, wiara w sławę czy siłę oręża, czyni z ludzi głupców, ale daje im jednocześnie do ręki broń niezwyciężoną — przekonanie o własnem znaczeniu i pasję działania. Tej pasji, tej bezwzględności brakowało uczonemu humaniście — oczy, które na portretach Holbeina i Dürera patrzą cicho z pod czarnego beretu, są to mądre i lękliwe oczy sceptyka. Słabością Erazma był jego intelekt, jego cudowna umiejętność ujmowania rzeczy ze wszystkich stron, bogactwo argumentów, jakie mu się nasuwały. Były to czasy zdumiewająco podobne do naszych: pod wpływem odkryć Kolumba, Cabrala i Magalhaesa zarysowuje się struktura gospodarcza Europy, nowe zdobycze matematyki, astronomji i medycyny wywołują całkowity przewrót w pojęciach; coraz większe szczerby pokazują się w murze, dzielącym niemożliwość od możliwości. Erazm Rotterdamski, sceptyk i racjonalista, który surową dyscyplinę scholastyczną, jaką wdrożono mu niegdyś w paryskim collège Montaigu, potrafił zużytkować dla celów niczem nieskrępowanego rozumowania, wierzy w postęp moralny człowieka przez pogłębienie i rozszerzenie wiedzy, wierzy też w dobrą przyszłość ludzkości, w braterstwo powszechne i wieczny pokój na ziemi. Ideałem jego jest solidarność uczonych i artystów całego świata, tolerancja, walka z ciemnotą i fanatyzmem. Wiara w ponadnarodową republikę uczonych, w stany zjednoczone Europy, na których sztandarze widniałby zwój per-

gaminu i pióro gęsie, nie została wyrecytowana przez alegoryczną figurę głupoty pośród szaleństw i błędów ludzkich. Erazmowi, który w prostocie ducha troskał się, że ze wszystkich ludzi on jeden nie podlega słabości złudzenia, życie dało wkrótce dotkliwą nauczkę. W potężnym wichrze reformacji, w huraganie wojen, jaki za nią przyszedł, zgłuchły i niedosłyszalne stały się argumenty, toczone w pięknej łacinie humanistów.

Erazm Rotterdamski Zweiga nie jest właściwie biografją Jest to raczej coś w rodzaju „powiastki filozoficznej“ w tym stylu, w jakim uprawiali ów gatunek pisarze XVIII-go wieku. Niema tu wprawdzie ani szacha perskiego, ani podróżującego po bezecnej Europie Chińczyka, ale jest zato mądry humanista, którego wielki ideał braterstwa ludów ginie pośród zawieruchy tępego fanatyzmu. Bohater opowiadania nie jest postacią fikcyjną, ale jest jedną z najmniej znanych, najbardziej tajemniczych i zagubionych w czasie figur tej potężnej rewolucji duchowej, jaka wstrząsnęła średniowiecznym światem. Sens paraboli nie ulega tu żadnej wątpliwości. Niepodobna wątpić, że Zweig myślał tu niemniej o swoich czasach, niż o owych dniach tragicznych, kiedy po całej Europie rozlegał się huk młota, przybijającego do drzwi kościoła w Wittenberdze 95 tez Marcina Lutra. Tragizm Erazma Rotterdamskiego jest tragizmem Zweiga i wszystkich ludzi, pokrewnych mu duchem — pozostanie prawdopodobnie nazawsze tragizmem tych wszystkich, którzy nie potrafią pragnień swoich potężnemi ciosami wkować w twardą bryłę rzeczywistości.

— Ale zostanie po mnie ta siła fatalna. — Temi mniej więcej słowy kończy Stefan Zweig swoją „powiastkę filozoficzną“ o Erazmie Rotterdamskim. Mówiąc o testamencie, jaki przyszłym pokoleniom zostawił ten znękany życiem mnich holenderski, powiada autor: — I niechaj mądrzy a zimni ludzie wciąż odnowa wykazują beznadziejność wysiłków Erazma i niechaj rzeczywistość raz po raz przyznaje im rację: zawsze potrzebni będą ci, którzy podnoszą to, co łączy ludy, a w sercach ludzi odnawiają wiernie myśl o przyszłych czasach powszechnego zbratania... I tylko wobec ponadosobistych i trudnych do urzeczywistnienia pragnień poznają ludzie i narody swoją własną świętą miarę.

Jednolity front

Grudniowy numer „Kampfu“, teoretycznego organu socjalistów austrjackich, (wychodzi obecnie w Pradze), przyniósł interesujący artykuł Ottona Bauera, p.t. „Blok Prawicy i blok lewicy w Międzynarodówce“.

Autor analizuje stosunki, jakie wytworzyły się w łonie Międzynarodówki, na tle dyskusji nad zagadnieniem jednolitego frontu na ostatniem posiedzeniu Egzekutywy Międzynarodówki. Na posiedzeniu zarysowały się wyraźnie dwa kierunki: kierunek prawicowy, reprezentowany przez partje reformistyczne: angielską, szwedzką, duńską, czeską i holenderską, zdecydowanie wrogi wszelkiemu porozumiewaniu się z Kominternem i kierunek lewicowy, reprezentowany przez partje rewolucyjne: francuską, austrjacką, hiszpańską, szwajcarską, rosyjskich mieńszewików i „Bund“ (żydowski związek robotniczy), domagający się niezwłocznego podjęcia rokowań z „Kominternem“. Bauer szuka przyczyny tej krańcowej rozbieżności stanowisk w różnicy objektywnych warunków, w jakich znajdują się rozmaite partje, podkreśla wszakże stosunkowo mały wpływ katastrofy niemieckiego reformizmu na kształtowanie się ideologji prawicowych partyj socjalistycznych. Zastanawiając się nad dalszą rolą bloku lewicy Międzynarodówki“, pisze Bauer:

„Po obecnem zróżniczkowaniu ruchu robotniczego na odłam socjalistyczny i komunistyczny, musi nastąpić scałkowanie ruchu... Dróg do takiego jednolitego socjalizmu, któryby przezwyciężył zarówno bolszewicką, jak i demokratyczną jednostkowość, szukało już Międzynarodowe Zrzeszenie P. Socjalistycznych, t. zw. „Międzynarodówka Dwa i pół“. Gdy usiłowania przerzucenia pomostu między proletarjatem zachodnio-europejskim, a rewolucją rosyjską, rozbiły się o ówczesne stanowisko M. Kom., Międzynarodowe Zrzeszenie P. Socj. przystąpiło w r. 1923 do Międzynarodówki Socj. Obecnie w łonie Międzynarodówki Zrzeszenie odrodziło się w postaci bloku lewicy, który na ostatniem posiedzeniu Egzekutywy, po raz pierwszy od szeregu lat, ponownie wystąpił jako zwarta całość. Blok lewicy nie spełniłby jednak swego zadania, opuszczając M. Socj. i oddzielając się od masowych, demokratycznych partyj zachodnio-europejskiego proletarjatu. Zadanie swe spełni blok lewicy, podtrzymując kontakt z masowemi partjami zachodu i starając się równocześnie odegrać rolę ideologicznego łącznika między temi partjami a Wielką Rewolucją Rosyjską“.

ars

WŁ. WEYCHERT - SZYMANOWSKA

Znów projekt prawa małżeńskiego

Komisja Kodyfikacyjna wydała świeżo 2 uzupełnienia do projektu prawa małżeńskiego, który taką burzę wywołał 3 lata temu, gdy ogłoszono go w opracowaniu głównego referenta, prof. Lutostańskiego. Dwa dodatki, ogłoszone obecnie, to: 1) Rodzina, projekt działu polskiego kodeksu cywilnego o stosunkach prawnych rodziców i dzieci, projekt opracowany przez prof. Stanisława Gołąba, 2) projekt majątkowego prawa małżeńskiego, opracowany przez prof. Karola Lutostańskiego. Oba projekty są rozszerzeniem i dopełnieniem odpowiednich artykułów projektu zasadniczego, ogłoszonego w 1931 r. Komisja Kodyfikacyjna ogłasza je w takiej postaci, w jakiej zostały przedstawione przez referentów. W najbliższym czasie będą one przedmiotem obrad odnośnych podkomisyj.

Art. 41 i 42 projektu zasadniczego czynią wyłom w dotychczasowem prawodawstwie, mianowicie wprowadzają równość praw i obowiązków obojga małżonków wobec dzieci. Art. 42 nadto głosi, że w razie niezgodności rodziców rozstrzyga sąd.

W nowym projekcie rzecz ta jest bliżej sprecyzowana. Wprowadzona jest nowa instytucja „Państwowa Władza Opiekuńcza". Ona to rozstrzyga spory i zażalenia (Art. 46 §2), ona decyduje w razie kwestji o to, jaki zawód dziecko ma obrać (Art.49 §2). Ona wydaje zarządzenia, umieszcza dzieci w zakładzie lub przy innej rodzinie, jeśli rodzice nie pełnią należycie swych obowiązków (Art. 53). Ona wreszcię opiekuje się dzieckiem, urodzonem poza małżeństwem, przyjmuje od ojca uznanie dziecka i zgodę na nadanie mu jego nazwiska, może nawet przed urodzeniem się dziecka, zarządzić, że ojciec zapłaci natychmiast po jego przyjściu na świat, jego koszta utrzymania za 3 miesiące zgóry (Art. 30).

Są to niewątpliwie rzeczy nowe i dobre, ale nie dosyć zdecydowane. Nie jest jasne, kiedy Państwowa Władza Opiekuńcza *może* nałożyć koszta na ojca, i dlaczego „może nałożyć", a nie „nakłada". Matka nieślubna jest zazwyczaj istotą zbiedzoną i bezradną, i jej prawa powinny być określone jasno, a orzeczenia władz winny natychmiast i bezwarunkowo wchodzić w życie. Inaczej wszystko pozostanie na papierze, a krzywda nie dojdzie do głosu.

Nie zdaje nam się też dobrem i prostem kierowanie samego aktu ustalenia ojcostwa do sądu, gdy cała opieka prawna nad dzieckiem, zrodzonem poza małżeństwem, oddana jest w ręce Państwowej Władzy Opiekuńczej, mają-

cej niewątpliwie znamiona sądu. Instytucja ta, która ma powstać, powinnabyześrodkowywać w sobie wszystko, co dotyczy prawa familijnego, wtedy stanie się sprężystszą i łatwiej dostępną. Podział na opiekę i sąd jest tu niepotrzebny. Należałoby natomiast przy kreowaniu tej nowej władzy sądowo-opiekuńczej zastrzec w niej wyraźnie udział kobiet prawniczek. Zwracamy na to tembardziej uwagę, że prof. Gołąb, omawiając treść projektu prawnego, zaznacza, że nie normuje on organizacji nowej instytucji i pozostawia to nowemu uregulowaniu prawnemu".

Dziecko nieślubne projekt ten stara się zrównać ze ślubnem. Jeśli zostało uznane przez ojca, „uzyskuje prawa, wypływające z pokrewieństwa w stosunku do ojca i jego rodziny". Majątkowe konsekwencje tego artykułu mogą być niewątpliwie bardzo poważne (Art. 31 §2).

Siła jednak tego paragrafu prawnego i art. 26 o kosztach utrzymania, zależeć będzie od łatwości procedury dochodzenia ojcostwa. Należałoby podkreślić, że roczne przedawnienie prawa dochodzenia ojcostwa stanowi termin nieco zakrótki, jeśli się weźmie pod uwagę, że ten pierwszy rok jest dla matki najcięższy w życiu i fizycznie i moralnie.

Projekt majątkowego prawa małżeńskiego wychodzi z założenia wspólności majątku dorobkowego, którym małżonkowie zarządzają wspólnie, na równych prawach i odrębności osobistego, posiadanego przed ślubem, którym każdy z małżonków samodzielnie zarządza. Nowość w stosunku do praw dawnych, stanowi tu zrównanie w prawach męża i żony.

Nie będę się zastanawiała nad szczegółami prawnemi, bo projekty interesują mnie głównie z punktu widzenia społecznego i obyczajowego. Przeżywamy niewątpliwie okres reformy małżeństwa. Składają się na to i nowe warunki ekonomiczne, przedewszystkiem powszechne niemal zarobkowanie , a przynajmniej dorabianie kobiet, wymagania eugeniki i regulacja urodzeń. Trzeba to sobie wyraźnie powiedzieć, że małżeństwo jest teraz zupełnie czem innem, niż było i prawo, mające przyjść, musi to uwzględniać. Oczywiście, sfery konserwatywne i klerykalne zamykają oczy na rzeczywistość i nie chcą żadnych zmian. Naganka ich na projekt prawa małżeńskiego, grozi nietylko przewlekaniem sprawy, ale pogarszaniem treści. Toczą się ciągle spory, przygotowują układy i kompromisy, które mogą zajść bardzo daleko. Projekt bowiem nie jest rewolucyjny i nadmiernie radykalny, przeciwnie, kompromis już leży w jego podstawach i założeniach. Jeśli idzie o śluby cywilne, opiera się on na tem, co we Włoszech papież **uznał za „pokojową ugodę"** (Encyklika z 31 **grudnia** 1930 r.) t. j. na równorzędności obu form, cywil-

nej i kościelnej. Prof. Lutostański jednak daremnie powołuje się na to w swej argumentacji — w stosunku do Polski kler rzymski jest bardziej zachłanny i marzy o utrąceniu ślubów cywilnych. Plotka niesie, że jeśli już będą śluby cywilne, to tylko dla formalnie bezwyznaniowych. Rozwód jest jeszcze większem zgorszeniem, choć w projekcie Komisji Kodyfikacyjnej jest on bardzo mocno ograniczony, napewno za mocno, nietylko, jak na dzisiejszą rzeczywistość, która może być fazą przejściową, ale jak na słuszne motywy psychologiczne. Jeśli rozumnem przewidywaniem możności pogodzenia się małżonków jest zostawienie roku pomiędzy rozłączeniem (separacją), a rozwodem dla małżeństwa bezdzietnego, to termin 3 lat dla małżeństwa, mającego dzieci, któremu nadto prawo każe spowiadać się przed sądem z przyczyn rozwodu, jest psychologicznym nonsensem.

Wiadomo, czem staje się w stosunku wzajemnym głośne wypowiedzenie żalów i pretensyj wobec osób trzecich. Ale właśnie sfery klerykalne przygotowały najmocniejszy „uczony“ i „prawniczy“ atak na najcenniejszy może w projekcie rozwodu art. 54 i 57 projektu, orzekający, że rozwód w małżeństwie bezdzietnem można dostać bez uznania winy żadnego z małżonków. „Gdy się podaje skargę do sądu, mówią nasi teologiczni prawnicy, trzeba podać powód. Oto przykład, jak sucha dialektyka zabija życie.

Ponieważ mówię o niedociągnięciach kompromisowych projektu z 1931 r., muszę wspomnieć jeszcze o przeszkodach do zawarcia małżeństwa. Art. 10 mówi: Nie wolno zawrzeć małżeństwa między osobami, z których przynajmniej jedna jest dotknięta otwartą gruźlicą, chorobą, weneryczną w stanie zaraźliwym, albo narkomanją“. Przyczyna bezwzględnie słuszna, ale kto ustala fakt, że ona istnieje?

„Własne oświadczenie każdego z narzeczonych, że nie wie o istnieniu przeszkód do małżeństwa“. — Czy to wystarcza?. Prawne wymaganie lekarskich świadectw przedślubnych, zbawiennie oddziałałoby na obyczajowość.

Kończę tych parę uwag o projektach prawa małżeńskiego w Polsce. Uważam, że na ten temat powinnoby się pisać nietylko w prasie prawicowej, gdzie obrzuca się błotem wszystko, co trąci choćby zdaleka nowością poglądów i przystosowaniem się do życia. Lewica społeczna albo milczy, bo cóż ją może obchodzić projekt kompromisowy, który rewolucja zmiecie, albo milczy, bo się boi projektowi szkodzić i odwlekać jego realizację. Wobec tego istnieje niebezpieczeństwo, że przejdzie prawo tak wsteczne, iż wszyscy jękniemy pod jego brzemieniem.